

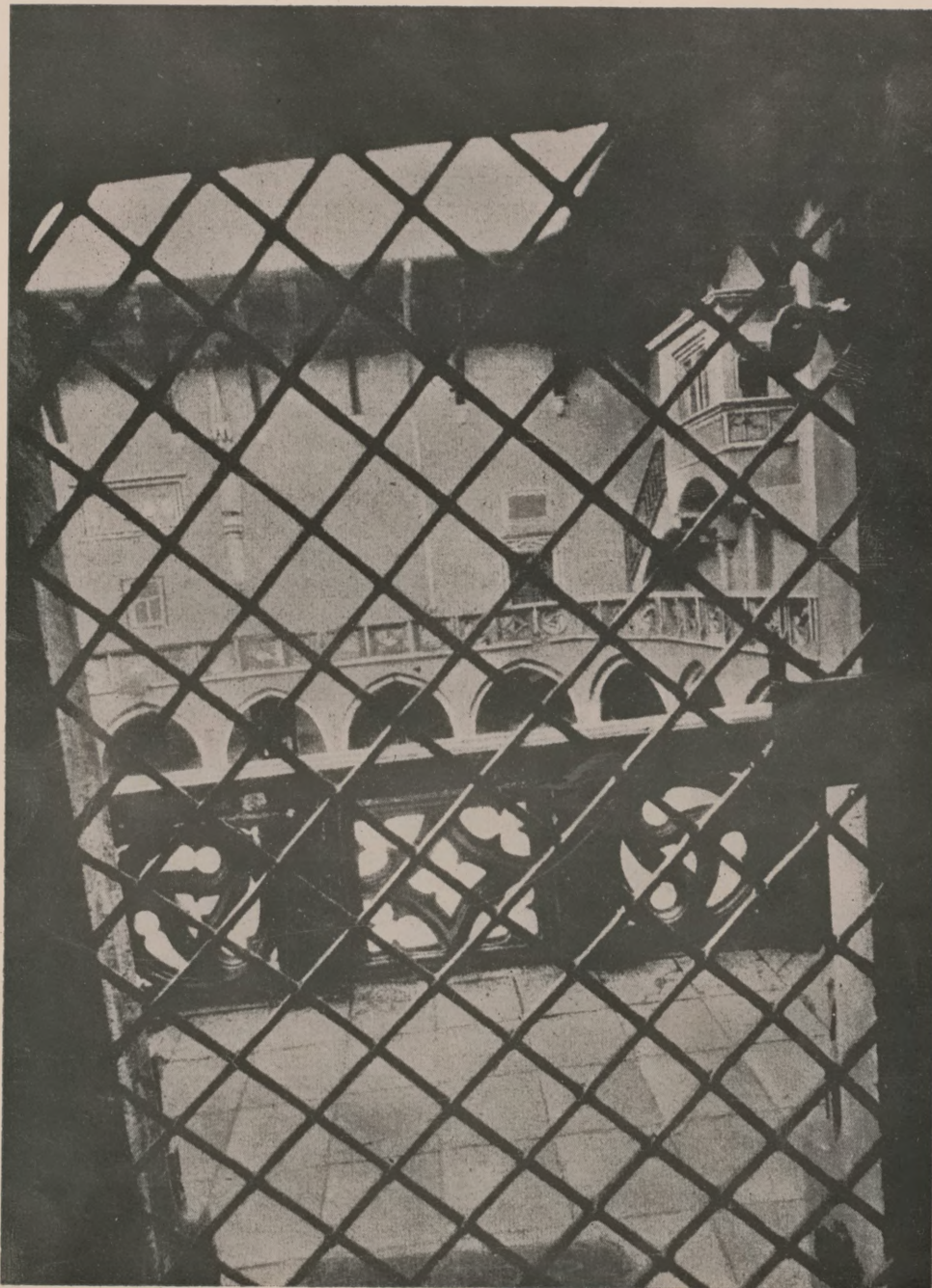
TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE

Jerzy Andrzejewski
Wawrzyniec
Czereśniewski
Jan Lechoń
Marja Morozowicz-
Szczepkowska
Artur Oppman
Jan Wolny

Vol. 4. No. 44 (201) Nowy Jork, 10 listopada — New York, N. Y., November 10, 1946

Cena 20 ct.



Dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie

JAN LECHOŃ

P A N A R T U R

(Z KSIĄŻKI "MOJA WARSZAWA", MAJĄCEJ SIĘ WKRÓTCE UKAZAĆ NAKŁADEM
"BIBLIOTEKI POLSKIEJ")

Wielkim zdarzeniem mego uczniowskiego, jeszcze właściwie dziecinnego życia było poznanie żywego Or-Ota, którego wiersze dla dzieci znałem od zawsze i którego "Krzyżak z Olszynki" był później moim "szlagierem" deklamacyjnym na uczniowskich wieczorkach. Było to na popołudniowe jego pełnej warszawskich czarów "Szopki" w teatrze Polskim. Stary redaktor Olchowicz, też arcywarszawska figura, koncyljator i honoracjor jakich już niema a jowialny protektor moich literackich debiutów przechodził właśnie, pamiętam jak dziś, z Or-Otem przez westibul na pierwszym piętrze i zobaczywszy mnie, zawsze skłonny do wszelkich nawiązywań i reklam, przedstawił Or-Otowi jako rzekomą nadzieję młodej poezji, co oczywiście, jako że miałem wtedy czternaście lat, było ryzykownym prośbą. Or-Ot był jednym z największych oryginałów wśród pisarzy, którzy w tych czasach byli niemal wszyscy oryginałami. Miał on nieodpartą potrzebę serdeczności i rozczulenia, która wcale nie była zdawkowa, a tem mniej, jak to często-bywa, fałszywa i szła w parze z humorem i z poczuciem dowcipu. Or-Ot chciał się poprostu stale kimś zachwycić, z kimś przyjaźnić, czegoś nowego od ludzi spodziewać i wszystko to przy zetknięciu, wszystko jedno z przyjaciółmi czy z nowopoznanymi, wypowiadało się w przeciągłym wielokrotnym potrząsaniu ręki i w przenikliwym wpijaniu się w rozmówcę zażawionym od wzruszenia wzrokiem. Kiedy za niepodległej Polski w szustnym uznaniu jego zasług dla wojska polskiego zrobiono go pułkownikiem oświatowym — te rozławne manjery Or-Ota w połączeniu z mundurem, regulaminem wojskowym, obowiązkiem salutowania dawały efekty o nieodpartej potędze komicznej. Or-Ot poprostu męczył się jeśli z kimś sobie miłym nie był na ty i do nikogo nie zwracał się inaczej niż przez "kochany, drogi panie Józiu, Kaziu, Stasiu", dodając zwykle skwapliwie komplementy co do wyglądu napotkanego. "Kochany, drogi panie Jasiu! Naprawdę że wyglądacie jak różyczka". W najcięższych dniach sierpniowych, poprzedzających bitwę warszawską Or-Ot, idąc na Zamek, oczywiście w mundurze, natknął się na ówczesnego ministra wojny generała Sosnkowskiego i łącząc dwa sprzeczne gesty wojskowego salutowania i przyjaznego wymachiwania ręką, wołał do niego przez dziedziniec zamkowy: —

"Czołem drogi, kochany panie generale! Naprawdę że wyglądacie jak różyczka! Co tam słycać na froncie?"

Jego kult dla Księcia Józefa, z którego zrobił przesłiczny i jakże warszawski motyw literacki, miał wszelkie cechy uczucia miłosnego i nikt nie mógł być prawdziwym przyjacielem Or-Ota kto tej miłości nie podzielał. Żeromskiego, który w "Popiołach" prawie pominął Księcia Józefa, biorąc za naczelną postać historyczną Generała Sokolnickiego, Or-Ot niezgodny ukryć nurtujących go uczuć, pytał kiedyś z zażenowaniem jakby chodziło o najintymniejsze sprawy: "Powiedzcie mi drogi, kochany panie Stefanie co wy myślicie *naprawdę* o Księżu Józefie!"

Wśród ówczesnych pisarzy, niebroniony jeszcze wówczas niczem przed wyzyskiem wydawców, Or-Ot był swego rodzaju bogaczem, odziedziczył bowiem po ojcu fabrykę musztardy, był przytym przez długi lata doskonałym choć przeprocznym w tej roli redaktorem literackim "Tygodnika Ilustrowanego", w porównaniu więc zwłaszcza z innymi był raczej materialnie urzyciwiany i zdawałoby się, nie powinien był mieć kłopotów pieniężnych.

Mimo to, mając duże obowiązki i jak we wszystkim tak i w wydawaniu pieniędzy bajeczną fantazję, był zwłaszcza w późniejszym wieku w ciągłych tarapatkach, które w czasie gdy go znałem kończyły się najczęściej po całodziennym lataniu za paroma złotem, jakąś zaliczką np. od Szyfmana, poczym pan Artur zaraz z teatru te-

lefonował do domu wśród tysięcznych serdeczności i zapytał o zdrowie całej rodziny zapowiadając natychmiastowy swój powrót, poprzedzony zwykle wizytą w cukierni i u "kupca", skąd wychodził obładowany paczkami pączków, faworków i różnych wymyślonych smakotyków.

Z pisarzy, których znałem może tylko Antoni Lange był w równym co Or-Ot stopniu choć w innym rodzaju dzieckiem — to znaczy się poetą.

Or-Ot wierzył w swojego Napoleona, w księcia Józefa jak w żyjącą postać tak jak w nie wierzyli szwoleżerowie z pod Sommo Sierra i ułani z pod Raszyna. Rozkochawszy się w dziecinnych latach w Starem Mieście, które wtenczas zamieszkiwali różni weterani w czamarach, pijani szewcy i pyskate przekupki, zdołał poezją swą uczynić z nich świat odrębny, prawie mityczny, który mnie naprzykład raz na zawsze przesłonił późniejszą szarą rzeczywistość tej dzielnicy, tak że nigdy nie mogłem polubić polichromowanego z krzykliwą reklamą przez Stasia Ostrowskiego Rynku i zawsze tęskniłem do dawnego, szarego, brudnego ale jakże pełnego życia Rynku Or-Ota. Jego zainteresowania były ograniczone do historii i literatury, ale w tych dziedzinach był erudyta niegorszym od naukowców — specjalistów i owa erudycja w połączeniu z boską naiwnością i dziecinną fantazją pana Artura były czasem i wzruszającym komizmem tej cudownej figury. Kiedy przewożono zwłoki Słowackiego z Paryża do Krakowa byłem wraz z Or-Otem delegowany aby reprezentować na tych uroczystościach pisarzy i w ich imieniu eskortować trumnę. Z tej to właśnie okazji zadziergnęła się między nami przyjaźń, która będzie nazawsze jednym z najpiękniejszych i najbardziej rzewnych wspomnień mego życia. Zaledwieśmy wsiadli do pociągu w Warszawie, Or-Ot starszy odemnie przeszło o 30 lat, zwierzył mi się natychmiast z najintymniejszych przeżyć, które go wtenczas nurtowały i odwołując się do mego rzekomego zdrowego rozsądku domagał się rad życiowych, czyniąc to wszystko z tak rozbierającą naiwnością i powagą, że choć sprawa była bardzo serjo można się było naprawdę kulać ze śmiechu. Przegadawszy tak całą dzień, rozeszliśmy się wieczorem do swoich przedziałów, ustaliwszy wprzódy, że ponieważ Or-Ot jechał nie jako wojskowy ale jako delegat literatów, wystąpi więc nazajutrz w

C Z Y T A J C I E

Bibliotekę "Tygodnika Polskiego"

**"PODZWONNE ZA
KAPRAŁA SZCZAPĘ"**

K. Wierzyńskiego

(cena .75 ct.)

"O LITERATURZE POLSKIEJ"

J. Lechonia

(cena \$3.00 w oprawie)

oraz Wydawnictwo Biblioteki Pol.

"ARJA Z KURANTEM"

J. Lechonia

(cena \$1.25 i \$2.00 w oprawie)

Są do nabycia w administracji
"Tygodnika Polskiego", 157 East
64 St., New York 21, N. Y.

swaim świeżo nabytym czarnym marynarkowym ubraniu, t. zw. "żę-smokingu", w którym zresztą wyglądał na typowego poetę w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kiedy nazajutrz rano wszedłem do przedziału pana Artura aby go zabrać na śniadanie, zastałem go w mundurze pułkownikowskim, ozdobionym wszelkimi możliwymi orderami i t. zw. "bindzie", przyrzadzie do prasowania wąsów, już wówczas będącym komicznym anachronizmem. Ujrawszy mnie chwycił mnie w ramiona i wielokrotnie całując "z dubeltówki" i ściskając zaczął się usprawiedliwiać, mówiąc "Wiem ojcze kochany że macie rację, że powinienem być po cywilnemu ale naprawdę nie mogłem: nie macie pojęcia jak ja szalenie lubię ordery".

Nie pamiętam też wtedy czy kiedyś później powiedział mi coś, co i bez nie wiedziałem i co było zresztą jednym z największych trjumfów mojej poetyckiej "karjery" bo przecież Or-Ot był ulubionym poetą mego dzieciństwa — że mianowicie wiersz jego "Koncert Szopena" napisany był pod wpływem mego "Mochnickiego". "Wiem ojcze kochany, drogi, kochany panie Janie, że właściwie zlałem z Was mojego Szopena, ale słowo wam daję, że nie mogłem się powstrzymać tak mi się szalenie wasz Mochnicki podobał".

Kiedyś przy okazji patryjotycznego wieczoru, który Szyfman robił w teatrze Polskim, byliśmy na obiedzie u pani Marji Przybyłko-Potockiej: Or-Ot, Lulek Schiller i ja jako ewentualni autorzy tego programu. Schiller, jak wiadomo, zawsze kokietował swoją lewicowością i mógł, zgrubsza biorąc, uchodzić za bolszewika, jednocześnie jednak jak Or-Ot — Starej Warszawy — był znawcą Starego Krakowa, manjakiem różnych ciekawostek nie tylko krakowskich ale i warszawskich i poza Or-Otem może wówczas już on jeden znał różne stare warszawskie tradycje i piosenki. Or-Otowi też odrazu przypadł do serca i były go napewna pan Artur odrazu wycelował z dubeltówki gdyby go nie powstrzymywał ów osławiony bolszewizm Schillera. W miarę jednak jak kieliszek szedł po kieliszku i jedno świetniejsze od drugiego arcydzieła gastronomiczne pani Marji — Schiller przechodził coraz bardziej ze swojej zwykłej tajemniczej ponurości na rzewne wspomnienia dzieciństwa, co chwila zrywał się i siadał do fortepianu aby zanucić jakąś zapomnianą piosenkę Bartelsa i jednocześnie w panu Arturze coraz bardziej rosła potrzeba zawarcia dozgonnej przyjaźni z tym "bolszewikiem", który tyle wiedział o księciu Józefie i znał wszystkie piosenki Berangera. W pewnym momencie więc chwycił go za rękę i, trzymając je w swych dłoniach, spojrział mu w oczy tem swoim przekomicznym

przenikliwym spojrzeniem i zapytał, jakby chcąc uspokoić sumienie przed popełnieniem ciężkiego występku "Ale Polskę kochacie, prawda?"

Prawdziwi poeci nie mają wieku i w starości czują i piszą tak samo jak młodzi chłopcy. Or-Ot też na schyłku życia zablęsnął nowym stylem swej poezji, do czego, nie chwając się, nieco się przyczyniłem i przez co, w tym czasie gdy był już opuszczony i najniesprawiedliwiej lekceważony, stałem mu się naprawdę bliski i potrzebny.

W okresie, gdy był przekonany że nie już nie napisze nowego i że nigdy nie oderwie się od swoich wiarusów i przekupek, namówiłem go na wiersze do redagowanego wtedy przeze mnie "Cyrulika Warszawskiego" z myślą i o tem, że nasze niewielkie honoraria ulżą mu w jego bardzo już wtedy dotkliwych pieniężnych prywacjach.

Or-Ot, który całe życie kochał się jak młody student ale nigdy o tych rzeczach nie pisał, przyniósł wiersz niby formalnie podobny do dawnych ale w temacie i w nastroju zupełnie nowy, drgający od jakichś niewypowiedzianych pasji, pełen zarazem rozmachu, humoru i ostrej goryczy, balladę, w której doprawdy było coś z Villona, z jego buntu przeciw banalnościom i wszelkim więzom życia.

Byłem naprawdę wzruszony i olśniony i zdołałem tym zapalem przekonać Or-Ota, że powinien powierzyć się tym właśnie nastrojom i uczuciom, że te wiersze pisane "dla chleba" są jego prawdziwą, czystą a zupełnie nową poezją. Za pierwszym poszły więc inne, jak niegdyś ułańska Warszawę i Stare Miasto, tworzące znów odrębny świat jakichś romantycznych warszawskich apaszów i jakichś kochanków, kochających bez pamięci i prawie bez wstydu, zamknięty dotąd w duszy Or-Orta a teraz na chyłku jego życia, domagający się głosu. Odtąd pułkownik przychodził co tydzień do ciemnego, bardzo ponurego lokalu "Cyrulika" na Widok, zawsze rozczulony, zawsze całujący się "z dubeltówki", zawsze z nową, niecierpliwie przez nas oczekiwaną balladą w kieszeni.

Wiersze te nigdy nie wyszły w osobnym zbiorze. Później ja porzuciłem "Cyrulika" i tylko rzadko, na ulicy spotykałem pana Artura, który zawsze na mój widok wołał że wyglądam "jak różyczka" ale który coraz bardziej smutniał, coraz bardziej samotny w świecie, nieznanym się na takiej jak jego prostej poezji. Później wyjechałem na stałe z Warszawy i w Paryżu dowiedziałem się z gazet o śmierci Or-Ota, któremu ani w części, ani za życia, ani po śmierci nie odwdzięczono się za to wszystko co uczynił swą poezją dla Warszawy.

OCHOTNIK ADOLFO CARVALHO Z BRAZYLJI

Ochotnik Adolfo Carvalho, wracający do Brazylii, był prowadopodobnie jedynym Indjaninem w szeregach Polskich Sił Zbrojnych. Urodził się w roku 1915, a pochodzi z miasta St. Louis w Stanie Rio Grande do Sul.

Zaciągnął się do wojska polskiego w Argentynie, gdzie przedtem pracował, i przybył do Wielkiej Brytanji w roku 1943. Przeszedł Komendę Uzupelnień nr. 1 w Szkocji, wcielony zrazu do 10 kompanji warsztatowej 3 Brygady Strzelców, obejmującej piechotę wsparcia 1 Dywizji Pancernej. Z kompanji warsztatowej przeszedł do 8 Baonu Strzelców. W bataljonie był żołnierzem kompanji wsparcia.

W szeregach 1 Dywizji Pancernej wyładował na kontynencie. Przemierzył Normandję i resztę Francji, bił się w Belgji i Holandji. Wraz ze zwycięską Dywizją wkroczył do Niemiec. Na terenie okupacyjnym pełnił służbę do dnia 17 sierpnia 1946 roku, kiedy rozstał się ze swoją macierzystą Dywizją i znalazł się w Ośrodku Demobilizacyjnym nr. 1 w Szkocji, celem przygotowania się do powrotu, do Południowej Ameryki. I zaznaczyć należy, iż Adolfowi Carvalho towarzyszyło na wojnie szczególnie szczęście. Należał do tych wyjątkowych żołnierzy 1 Dywizji Pancernej, którzy nie zostali w toku kampanji ranni.

Ten obywatel Brazylii pochodzenia indjańskiego, którego matka wywodziła się z rodziny hiszpańskiej, pracował od zarania swego życia w Misjonach, między Polakami, w największej kolonji polskiej w Argentynie. Jak opowiada, od 10 roku życia uważa się za Polaka.

Dlaczego zaciągnął się do wojska?

— Ja w Argentynie pracowałem z Polakami. Polacy mówią: trzeba jechać — jedziemy. To i jedziemy.

Już w Argentynie Carvalho nauczył się po polsku, pracując na wspomnianej kolonji rolnej w Misjonach.

O kolegach z Dywizji wyraża się tak:

— Dobrze wszystko, czasami się kłócili ale zawsze dobrze było.

Wracając do swych poprzednich zajęć w Południowej Ameryce — Carvalho ma dosłownie wszystkie odznaczenia jakie należą się za uczestnictwo w kampanji kontynentalnej.

Wawrzyniec Czereśniewski.

OD ADMINISTRACJI

Prenumeratorzy "Tygodnika Polskiego", oficerowie i żołnierze II Korpusu, proszeni są o jaknajwcześniejsze podanie swych nowych adresów w Anglii.

JAN WOLNY

JESZCZE RAZ GRANICA ZACHODNIA

Zamieszczając artykuł Jana Wolnego, redakcja idzie za zasadą, aby dawać głos wszystkim wybitnym pisarzom, stojącym na stanowisku naprawdę niepodległościowemu i broniącym swych poglądów przez poważne argumenty. Jan Wolny jest wśród nich jednym z najpierwszych i dlatego drukujemy jego pracę, która w wielu łęczach stoi w sprzeczności z poglądami redakcji "Tygodnika Polskiego".

II.

Tydzień temu przeprowadziliśmy dowód, że oświadczenie Mołotowa dla agencji prasowej warszawskiej w sprawie granicy polsko-niemieckiej, ogłoszone w odpowiedzi na mowę Byrnesa w Sztutgarcie, nie tylko ujęte było w najślabszą z będących do wyboru formę rozumowania prawniczego, ale że w razie zmiany okoliczności, przy których do niego doszło, może być przez jego autora wycofane lub odwołane. Dziś zajmiemy się dalszą oceną i wnioskami z obecnej sytuacji naszych granic.

Dla politycznie myślącego Polaka niemal najważniejsze z oświadczenia Mołotowa są motywy, dla których do niego doszło. Dla tych samych powodów, dla których tak celebrytuje to oświadczenie oficjalna Warszawa, muszą odczuwać jako bolesny cios oficjalni Niemcy okupacji sowieckiej, t. j. komuniści i krypto-komuniści. Przeciwny Polak w kraju i zagranicą nie zdaje sobie sprawy, jak dalece Niemcy byli ośmieleni przez agentów sowieckich do spodziewania się, że granica odrzańska niedługo będzie zmieniona na ich korzyść. W sierpniowym głosowaniu setki tysięcy głosów padły w sowieckiej strefie okupacyjnej na listę "Jedności Socjalistycznej" (coś jakby u nas kombinacja Gomółki z Osóbką) tylko dlatego, że wyborcy, często przymusowemu emigrantowi ze wschodu powiedziano na ucho, iż tylko komuniści zapewnią mu mogą powrót Śląska do Niemiec, albo jego osobisty powrót na Śląsk. Zaraz po wyborach okazało się, że była to fikcja. Ostatnie wybory w Berlinie i w miastach strefy sowieckiej wykazały, że nauczony doświadczeniem wyborca niemiecki masowo odpłynął od listy ugodowców pro-sowieckich, pomimo, że komuniści wciąż zapowiadali i przed temi wyborami, iż postarają się "wplynąć" na stanowisko Moskwy w sprawie granicy. Mołotow, który z pewnością jest dobrze poinformowanym realistą, musiał wiedzieć, że oświadczeniem swem nie zjedna sobie Polaków, że natomiast pogniewa i rozczaruje Niemców, a nadto że uspokoi Zachód, który niczego bardziej się nie obawia, jak współpracy sowiecko-niemieckiej. Dlatego Sowiety,

które drażnią świat zachodni na tylu bolesnych punktach, poniechały w tym wypadku drażnienia go na tym szczególnie czułym odcinku?

Nie widzimy w odpowiedzi innej hypotezy jak ta, że zawsze, wszędzie i każdemu lepiej mieć wróbla w garści, niż kanarka na dachu. Rząd sowiecki musiał dojść do wniosku, że w obecnych warunkach nie uda mu się pozyskać narodu niemieckiego dla roli satelity Rosji i że nie uda mu się przekroczyć wpływem politycznym obecnej linii demarkacyjnej między okupowanymi przez czerwoną armję wschodniemi, a zachodniemi Niemcami. Ogromna większość Niemców z dwójga złego woli kontrolę amerykańską, brytyjską, a nawet francuską od sowieckiej, a poza tym nie chce komunizmu, jak na to wskazują wolne wybory w zonach zachodnich. Pod tym względem Niemcy nie różnią się od innych krajów Europy i zachodniej i wschodniej. Nie potrzeba przypuszczać, że takie stanowisko ludu niemieckiego wypływa z jego demokratycznego nastawienia. Nie — pro prostu wszyscy w Niemczech wiedzą, że Anglicy nie wysyłają Niemców na Labrador, a Amerykanie na Alaskę. "Po dobru", przez propagandę, wytłumaczy blisko 50 milionom Niemców w zonach zachodnich, że w ich interesie leży awansować do roli większej "demokratycznej" Jugosławji, czy Polski, zależnej od Moskwy, jest niepodobiestwem, przynajmniej w dających się przewidzieć okolicznościach. Ponadto po mowie Byrnesa odpadła także *sine die* perspektywa, tak pożądana dla Kremla, powstania próżni władzy w obecnej strefie amerykańskiej przez wycofanie z niej wojsk okupacyjnych, i niema szans, aby ta polityka miała ulec zmianie. Liczy na to, że amerykańską opinię o Rosji z powrotem będzie urabiał Davies lub Wallace, doprawdy już nie można; Hopkins nie wstanie z grobu, ani Hull z łoża boleści, aby z powrotem załatwiać interesa polityczne z Rosją.

Co robi doświadczony marxista w sytuacji, w której dalszy postęp imperjalizmu sowieckiego na określonym odcinku staje się niewykonalny? Zgodnie z kanonami kościoła Lenina i

TYGODNIK POLSKI

is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

157 East 64th Street

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Adm. and Business Manager:

Dr. Leopold Obierek

Subscription

Monthly 80 cents

Half Yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879".

Stalina, w oczekiwaniu na powstanie okoliczności, mogących zmienić tę sytuację, kiedy znowu będzie mógł przypuścić atak, okupuje się on na swej dotychczasowej pozycji i umacnia ją. Tak właśnie postąpił Mołotow. Dotychczasowa jego pozycja, to linia graniczna okupacji wprost Niemiec, za którą trzeba utrzymać w ryzach dwadzieścia kilka milionów Niemców i tyleż Polaków, linia za którą Niemcy i Polacy są dla Rosji liczebnie jednakowo ważni, gdzie nie ma już przewagi problemu niemieckiego nad polskim. W świetle tak zarysowanej sytuacji leży w interesie sowieckim podtrzymanie polskiej granicy zachodniej, tembardziej może właśnie dlatego, że została ona zaatakowana z Zachodu. Wyobraźmy sobie na chwilę, że Byrnes w Sztutgarcie gorąco wystąpił w obronie tej granicy. Czy w takim wypadku Mołotow także liczyłaby się z nim o twardość postępowania wobec Niemiec? Jasna rzecz, że nie. Analiza obu oświadczeń prowadzi nas do stwierdzenia, że Byrnes nie tyle zaszkodził sprawom polskim, ile — coajmniej ma krótki okres czasu — dopomógł im, gdyż na tle kardynalnej sprzeczności interesów amerykańskich i sowieckich sprokował Mołotowa do stanowiska, stabilizującego granicę. Wywołałszy wilka z lasu, zażegnał on w istocie niebezpieczeństwo rewizji granicy z inicjatywy sowieckiej, która niewątpliwie była konkretnie przygotowana.

Co będzie dalej? W końcu listopada czterej ministrowie spraw zagranicznych mają w Nowym Jorku ustalić plan rozmów przygotowawczych do rokowań o traktat pokojowy z Niemcami. Nikt nie może przewidzieć re-

zultatu tych rozmów. Ale gdyby rzeczywiście doszło do rzeczowych rokowań, to jednym z pierwszych punktów ich programu muszą być granice Niemiec. Czy Stany Zjednoczone i W. Brytania rzeczywiście wystąpią z wnioskiem rozszerzenia granic Niemiec na wschód? A jeśli tak, to czy będą one traktować taki wniosek poważnie, jako ich cel polityczny, czy też będą gotowe odstąpić od niego wzamian za ustępstwa sowieckie na innym polu? Czy Mołotow w dalszym ciągu będzie bronił obecnej granicy, czy też on z kolei zostanie "przekonany" o potrzebie ich zmiany, znowuż wzamian za koncesje Zachodu na innym polu? Na pytania te niema odpowiedzi. Pewne jest tylko to, że zanim dojdzie do rokowań, i podczas tych rokowań o traktat niemiecki, które mogą być bardzo długie i nie gwarantują porozumienia, oraz wreszcie po rokowaniach, przy założeniu, że potwierdzą one obecny stan faktyczny na pograniczu polsko-niemieckim, stan ten będzie się konsolidował, co-prawda według programu rządu warszawskiego, ale także, *rebus sic stantibus*, zgodnie z czasowym interesem Polski. Równocześnie, w miarę wywożenia ludności polskiej z za Buga do nowej Polski na sowiecki wschód, będzie konsolidować się negatywnie granica na Bugu. Za parę lat może nie być Niemców w Polsce, ani Polaków w Małopolsce Wschodniej, na Wileńszczyźnie i na polskiej Białorusi. Odwrócenie tego stanu faktycznego będzie w miarę czasu coraz trudniejsze.

Alte byłoby błędem przypuszczać, że taki rozwój rzeczy identyczny jest z gwarancją stałości granic polskich. Jest w naszym pojęciu nieuniknione, że w miarę powracania Niemiec na arenę polityczną (mamy na myśli Niemcy zachodnie, mające więcej mieszkańców od Francji, od Włoch, a nawet bodaj od Zjednoczonego Królestwa) ustalać się będzie na Zachodzie świadomość, iż przy następnym zakreście historii musi się dla nich znaleźć więcej miejsca od wschodu, niż go mają teraz przy obecnej granicy z Polską i Czechosłowacją. Im bardziej rząd warszawski będzie się bawił w sekretną policję, w fałszywe wybory i pogromy żydowskie, im bardziej będzie identyfikowany z "blokiem słowiańskim", tem szybciej Amerykanie i inni ludzie Zachodu przyjmą tezę, która istnieje już *in statu nascendi*, że zachodni Niemcy są na drodze do tego, aby stać się sprzymierzeńcami demokracji, podczas gdy warszawska Polska, jako sojuszniczka potencjalnego wroga i jako państwo totalitarne, jest potencjalnym wrogiem. Rząd federalny zachodnich Niemiec, do którego w razie niepowodzenia rozpoczętych w Nowym Jorku rokowań dojdzie

może już w 1947 roku, postara się o to, aby wrażenie takie umocniło się na Zachodzie, i może pod tym względem liczyć, jak na Zawiszę, na pomoc warszawskich satelitów Rosji. Niemcy w roli nowego "przedmurza chrześcijaństwa" mogą mieć powodzenie.

Zadaniem wolnych demokratycznych Polaków po świecie będzie przekonać Zachód, że Polska nie jest identyczna z narzuconym jej rządem. Wiele osób w Ameryce wie o tem, na skutek ewolucji pojęć powojennych, odbywającej się w pożądanym kierunku poniekąd automatycznie, ale są i tacy, którzy identyfikują przemówienia Langiego i inne głosy w tym rodzaju z polską racją stanu i oskarżają Polskę, że jest "niewdzięczna" za klęskę Niemiec, za pomoc UNRRA, za kredyty amerykańskie, etc. Słowem, są tacy, którzy zaliczają nas do jednej kompanji z Titem. Jest w naszych rękach, aby przez powtarzanie prawdy tam gdzie trzeba i przy każdej sposobności odgraniczyć Polskę i Polaków od warszawskich quislingów i poputezyków. Zadanie takie jest wykonalne.

Co do meritum sprawy granic, potrzebne jest aby Polak, który nie chce oszukiwać sam siebie, wyszedł poza koło frazeologii patriotycznej i spojrział rzeczywistości w oczy. Program utrzymania przy Polsce nowego jej stanu posiadania na zachodzie, a zarazem przywrócenia jej niepodległości i demokracji, oraz odzyskania całości czy znacznej części jej utraczonych ziem wschodnich, schlebia miłości własnej i egzaltacji Polaków, ale wprowadza ich w błąd, gdyż jest niewykonalny. Niepodobna wyobrazić sobie okoliczności, w których coś podobnego mogłoby się dokonać. Dziennikarze, którzy z tego rodzaju tezami występują po niewielu pozostałych wolnych pismach polskich, powinni sobie zdać sprawę, że nie posiadają one żadnego związku z rzeczywistością. Dla przykładu, "Dziennik Polski" w Londynie z 9 września powiada: "...z gruntu fałszywe jest twierdzenie, że z powodu utraty ziem wschodnich Polska domagała się rekompensaty na zachodzie. Takiego związku przyczynowego nie było i nie ma. Polska nie dlatego domagała się i domaga (sic) rewizji granicy na zachodzie, ponieważ zrabowane zostały jej ziemie wschodnie, ale dlatego, że odzyskanie (sic) granicy na Odrze i Nisie jest zgodne ze względami etnograficznymi, jak z zasadą sprawiedliwości dziejowej i wymogami obronności Państwa Polskiego". Trudno o tekst bardziej lekkomyślny i nieodwiedzialny: konia z rżędem jego autorowi, jeśli znajdzie poważnego cudzoziemca, który takim wywodem będzie przekonany. Zacytujemy tylko, że n. p. na

północ od linii Poznań-Odra odnaleziono według prasy warszawskiej 100,000 Mazurów, podczas gdy opuściło ten teren trzy miliony Niemców; że "zasada sprawiedliwości dziejowej" to ulubiony frazes dawniej Ribbentropa, dziś Gomółki; że "wymogi obronności" Polski w świecie dalekosiężnego lotnictwa i bomby atomowej, to anachronizm z 1914 roku.

Uczciwi i rozsądni Polacy nie powinni licytować się z warszawską prasą gadzinową w atakach na Byrnesa za to, że ośmielił się kwestjonować granicę na Odrze, i dlatego, że nie dadzą rady tej konkurencji, i dlatego, że koniec końców Byrnes nietyle zaszkodził Polsce, ile jej praktycznie dopomógł w rezultacie swego przemówienia. Słusznie jest podtrzymywać obecną granicę polsko-niemiecką w charakterze zastawu historii, ale nie-słusznie jest wyobrazić ją sobie jako ustaloną raz na zawsze, zwłaszcza wtedy, kiedy jednym tchem domaga się obalenia quislingów w Polsce i powrotu do niej Wilna i Lwowa. Stanowisko takie świadczy coppersaw o dynamizmie polskim, ale nie o poczuciu realności. Gdy jesienią 1943 r. minister spraw zagranicznych Romer w przemówieniu przed londyńską radą narodową powiedział, że Polska nie powinna z tej wojny wyjść pomniejszona, to wielu londyńskich Polaków w egzaltacji patriotycznej okrzyczali go za minimalistę i "agenta brytyjskiego". W rezultacie wprowadzili oni tylko w błąd siebie i innych. Trzeba się uczyć z doświadczeń i błędów przeszłości.

Alternatywy historyczne są dziś już dosyć jasne. Jeśli rokowania o traktat z Niemcami doprowadzą do potwierdzenia granicy na Odrze i Nisie, albo jeśli bez takiego potwierdzenia i bez traktatu poprosto przedłożone będzie na czas nieograniczony obecne zawieszenie broni między Rosją i Zachodem, utrwalając w drodze faktu dzisiejszy podział globu na dwa światy, przedzielone żelazną kurtyną, to dzisiejsza podległa i amputowana na Bugu Polska zachowa Wrocław, Szczecin, etc. tak długo, jak będzie to dogadzało polityce sowieckiej. Jeżeli równowaga tych dwóch części globu, w najlepszym razie bardzo niestała, załamie się i dojdzie do konfliktu między nimi, to wprawdzie o stworzy się wówczas perspektywa powrotu Polski do niepodległości i do części przynajmniej kresów wschodnich, ale jednocześnie i automatycznie wejdzie na porządek dzienny nowa i zapewne drastyczna rewizja granicy polsko-niemieckiej. Trzeciej ewentualności teraz, na jesieni 1946, nie widzimy.

Bernard Bartch, jeden z niewielu Amerykan wielkiego formatu, powie-

dział w przemówieniu z 12 października, że dla niego i w jego przekonaniu dla Ameryki "są rzeczy cenniejsze nawet od pokoju, a największą z nich jest wolność". Taki jest jego wniosek z pół wieku obserwacji i kształtowania opinii amerykańskiej. W dostosowaniu do współczesnego okresu historii Polaków, możnaby maksymę tę sparafrazować w ten sposób, że wolność jest cenniejsza od przebie-

gu granic; oba typy wolności: i niezależność kraju od sąsiadów, i wolność jego obywateli od tyranji totalitarnego rządu. Niewinnie uwięziony dba przedewszystkiem o wyjście poza kraty, a dopiero potem o wszystko inne; rozmiary więzienia są mu dość obojętne. Dla warszawskich quislingów i ich agentów obecna Polska jest doskonała, bo oni to właśnie są dozorcami więzienia z cudzego ra-

mienia; zresztą lubią oni nosić obrozę. Inni Polacy, to znaczy prawie wszyscy, nie mogą pogodzić się z obecnym stanem rzeczy. Podobnie jak ich przodkowie od rozbiorów do listopada 1918 roku, będą oni starali się rozbić mury więzienia niezależnie od tego, jak szeroka ma być ich nowa trzecia Polska. Dla tych Polaków hierarchja ich celów jest jasna: niepodległość, a potem granice.

MARJA MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA

W R Z E S I E Ń 1 9 3 9

(FRAGMENT UTWORU DRAMATYCZNEGO)

Wnętrze szpitala. Fragment sali z długim szeregiem łóżek. Na lewo: sala operacyjna. Na prawo korytarz. Raz wraz ktoś przebiega z opatrunkiem, przewożą wózek nakryty prześcieradłem. Przechodzi dr. Pęski. Na pierwszym planie leży Młody w gorączce, pochylona nad nim Barbara.

BARBARA: Proszę o termometr.

MŁODY: Wiele siostrzyczko?

BARBARA (kłamię): Zaledwie dwie kreski!

MŁODY: A czemu mi tak gorąco?

BARBARA: Ciepło dzisiaj, piękny wrzesień, niebo jak z turkusów, liście zaczynają przybierać złote odcienie.

MŁODY: Siostrzyczko, to dzisiaj operacja?

BARBARA: Pan pewno głodny, ale dopiero po operacji dostaniemy filiżankę rosółu, to dopiero będzie smakować!

MŁODY: Ale siostra będzie przy operacji, prawda?

BARBARA: Będę, naturalnie.

MŁODY: I będzie mnie siostra trzymała za rękę?

BARBARA: Będę, oczywiście.

MŁODY: I nie pozwoli mi siostra uciąć nogi?

BARBARA: A nie, nie, pan ma zdrowe nogi, tylko lekki postrzał brzucha, usuniemy źródło ropienia i będzie dobrze...

MŁODY: I będzie dobrze... którego dzisiaj?...

BARBARA: Dwudziesty piąty września...

MŁODY: Dwudziesty piąty? Osiemnaście lat temu rodziłem się w taki piękny, wrześniowy dzień... Kto będzie mnie operował?

BARBARA: Doktor Felicja Borowicz.

MŁODY: Ach, to dobrze, nogi mi nie utną, będę chodził, brzuch to głupstwo.

BARBARA (poszka łóżko dalej, pochyla się nad Postacią jak z wosku, też kropki krwi): Co?... nie!... w tej chwili nie strzelają!...

POSTAĆ (mówi z wielkim wysiłkiem, szeptem): Siostro... list!...

BARBARA: List! zaraz napiszemy list! znajdzie się karta z fotografią naszego szpitala, zaraz przyniosę, będziemy pisać (wybiega).

(Wchodzi naczelnny doktor, za nim pielęgniarki, idzie wgląd, zatrzymuje się przy każdym łóżku, sprawdza tablicę gorączki, idzie dalej).

PIEŁĘGNIARKA: Panie doktorze, potrzebujemy gazy, brak chloroformu, starczy tylko na dwie operacje.

DR. PĘSKI: Jakto? Dopiero teraz mi pani mówi?

PIEŁĘGNIARKA: Mówiłam wczoraj wieczór!

DOKTÓR: Wieczór? Ależ w nocy zrobiliśmy 60 operacji!

DRUGA PIEŁĘGNIARKA: (weszła): Panie doktorze, przywieźliśmy rannych, gdzie ich układać?

DOKTÓR: W korytarzach.

DRUGA PIEŁĘGNIARKA: Nie mamy łóżek.

DOKTÓR: Rozesać słomę, kilka łóżek zwolni się do wieczora.

CHORY (w głębi krzyczy): Boli, och boli!

PIEŁĘGNIARKA: To ten bez nóg.

DOKTÓR: Skończy dziś, znieść go na dół, dać zastrzyk.

PIEŁĘGNIARKA: Oszczędzamy zastrzyków.

DOKTÓR: Ostatnia dawka, na jego miejsce wnieść tego po trepanacji.

P I S M A

ADAMA MICKIEWICZA

w wydaniu Polish American Book Co
w Chicago

sześć tomów w trzech książkach
w nowym wydaniu drukowane
na najlepszym papierze, ilustrowane, oprawne **cena \$5.00**

PAN TADEUSZ — Cena \$1.50

Są do nabycia w administracji
"Tygodnika Polskiego", 157 E. 64 St.,
New York 21, N. Y.

(Poszedł dalej, za nim Pielęgniarki).

BARBARA (wraca z kartką, siada przy łóżku Postaci jak z wosku, który drzemiac pod jej nieobecność przeknął się teraz, myśli z wysiłkiem, mówi z trudem): W pierwszych słowach tego listu niech będzie pochwalony Jezus Krystus. Donoszę wam ojcze i droga Magdo, żem już zdrow, czego i wam życzę... brałem udział w wielkiej bitwie...

BARBARA (powtarza): Wielkiej bitwie...

POSTAĆ (nagle z niepokojem): Siostro... to my te bitwe... wygrali?

BARBARA: Tak, wygraliśmy, wyście ją wygrali dzielni żołnierze.

POSTAĆ: Znaczy... Magdy nie ruszą z chałupy... i dzieckom nie będzie krzywda... znaczy... Polskę wygralim... Ojczyzno...

BARBARA: Tak, polscy żołnierze wygrali Polskę. Wielką, bogatą i wolną. Żadna kropla krwi nie poszła na marne. Ani ta, która wyciekła z was, żeście taki osłabli, ani te ucinane co dnia nogi, ani te ręce, ani te życia odane bez zawahania, to wszystko idzie na wielki rachunek, z którego wyраста... Polska. Bóg odważy każdą łzę, każdą kroplę krwi, każdą krzywdę.

POSTAĆ: (wolnuiteńko): Niech... będzie... pokwalone... imię Jego... na wieki wieczne... Amen.

(Barbara wpatruje się w niego uważnie, ale już ją wołają).

CHORY (z następnego łóżka): Siostro Barbaro!.. siostro Barbaro...

BARBARA (podchodzi): Jak się pan dziś czuje, panie Jasiu?

PAN JAŚ: Oj, siostrzyczko, co mi się śniło! Tańcowaliśmy kujawiaka we dwoje! (nuci) ojdyrydyrydyry, ojdyrydyrydyry, ratiramtaradam... (nagle z rozpaczą) Siostrzyczko, byłem najlepszym tancerzem na cały powiat, jakże się obejdzie beze mnie na balach i zabawach? Jakież to będą dożynki, kiedy Jasiak Odżyński będzie stukotał drewnianym kikutem? Rany

boskie, jakże ja się pokażę mojej dziewczynie? Abo mnie to zechce, taka piękna i młoda?

BARBARA (oburzona): Jakże może nie zechcieć?

PAN JAŚ: Nie spojrzysz w moją stronę!

BARBARA: Niedobra by to musiała być panna, takiej nie warto kochać!

PAN JAŚ: Ale ja będę bez nogi! Bez nogi! Już nie siądę na konia, nie pójdę tańczyć! nie będę biegł przez pola! nie będę uganiał za kuropatkami! będę inwalidą! będę stukotał drewnianą nogą, będę pod silnym zdrowym ramieniem nosił drewniane szcudło... Lepiej bym nie żył, siostrzo!

BARBARA (surowo): Nie wolno tak mówić. Jakikolwiek pan jest, będzie pan potrzebny i użyteczny. Dla Polski nie tylko umierać, ale i żyć trzeba.

(Wstała, podeszła do trzeciego chorego, poprawia mu poduszkę). No, nie boli dzisiaj, prawda?

TRZECI: Mniej boli i już nie pluję krwią. To mam już tylko jedno płuco, siostrzyczko?

BARBARA: Tak, ale całe i zdrowe! i serce ma pan nienaruszone.

TRZECI (ironicznie): Będę sobie pomaleńku oddychać.

BARBARA: Czemu? całe zdrowe płuco!

TRZECI: To potęga, prawda?

SIOSTRA (wchodzi i wnosi paczki): Paczki, paczki od komitetu pań (przechodzi od łóżka do łóżka, na każdym składa dar).

TRZECI: W każdym razie moje tatarnictwo skończone. Będzie się teraz miejskim szcurem, oddychającym zatrutym powietrzem.

BARBARA: A właśnie, że pojedzie pan do Zakopanego na koszt gminy i będzie się pan leczył...

TRZECI: To płuco, którego nie posiadam...

BARBARA (otworzyła paczkę): O, proszę, jakie praktyczne dary: placzek, jabłuszka, czekolada, czekolada...

TRZECI: Dary, komitet, koszt gminy, wszystko to piękne słowa...

BARBARA: Ładne słowa, które dadzą się zjeść. Wszystko dla naszych chorych i inwalidów.

TRZECI: Dzisiaj, dzisiaj, może jeszcze jutro. Póki żywe będą w pamięci czyny wojny i czasy wojny. Ale za kilka lat, gdy już wszystko powróci do normy, gdy ludzie zdrowi, normalni będą prowadzili normalny tryb życia, czy myśli siostra, że nie zapomną o nas, inwalidach?

TRZECI: Czy im się nie znudzimy? Czy nie będą sobie krzywdzili za ponoszone dla nieużytków i nierobów ofiary?

BARBARA: Żywi i zdrowi zawsze będą dłużnikami umarłych i poszkodowanych na ciele i zdrowiu, wieczny-

mi, dozgonnymi dłużnikami za swoje życie i bezpieczeństwo.

TRZECI: Będziemy niepotrzebnym łodem, odpadki życia, to jasne...

BARBARA: Kto panu zabroni pracować w znaczeniu studjów, panu historykowi z zawodu? Nie będzie pan robił górskich spinaczków, ale będzie pan chodził i żył. Może przyczyni się pan swoim dziełem do urobienia lepszego, mniej krwawego niż obecny człowiek? Właśnie dlatego, że pan dużo przecierpiał. Par jest bardzo szczęśliwy, tylko jeszcze pan o tem nie wie.

SIOSTRA (która roznosiła paczki zbliża się do Barbary): Siostrzo Barbaro... (prowadzi ją do łóżka Postaci jak z wosku).

BARBARA (przyszła, pochylała się nad leżącym, kreśli na czole umarłego znak krzyża, składa jego ręce): Niechaj spoczywa w spokoju...

(Siostra wyszła, wraca z dwiema Sanitarjuskami, które niosą nosze, składają Zmarłego, nakrywają prześcieradłem, wynoszą).

(Cisza na sali, po chwili).

GŁOS Z GŁĘBI: Odjazd!

DRUGI GŁOS: O jednego mniej!...

BARBARA (chce opanować przykre wrażenie sali): Ten biedak umarł z upływu krwi. Zostało jej w nim zaledwie na parę godzin.

GŁOS Z GŁĘBI: Każdy na coś umrze...

INNY: W tej rzeźni centralnej każdego łatają, albo mu coś ucinają.

BARBARA: Ach, Boże, ta kartka!... Wyślemy ją z... dopiskiem... Ale adres! nie zdążył dać adresu!... jak on się nazywa (wychodzi).

(W tej chwili rozpoczyna się łoskot spadających dalej i bliżej bomb).

MŁODY (ocknął się ze snu): Już się zaczyna muzyka!... gdzie siostra Barbara?...

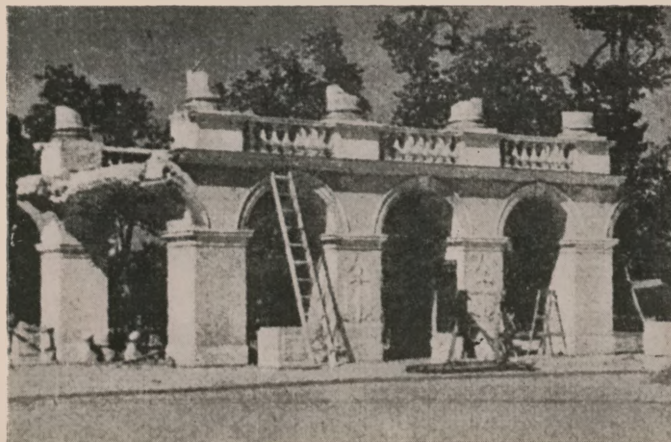
(Wchodzi naczelnny lekarz, za nim niosą na noszach chorego, któremu zrobiono trepanację czaszki. Głowa — wielka biała kula. Cały czas leży bez ruchu).

BARBARA (wraca bardzo strapiona): Ta karta nie zostanie wysłana... Nikt nie zna jego nazwiska!... Przynieśli go w nocy, był nieczytomy... (rozpaczona): Nie zostanie wysłana!

MŁODY: Proszę siostry, czy to już my?

BARBARA: Tak, tak, pani doktor już się przebiera (zagląda na lewo do sali operacyjnej). Wszystko gotowe.

MŁODY: Siostrzo, mój dziadek, Jan Kapistran, to bardzo śmieszne. Kapistran, prawda? mówił mi zawsze, żebym był dzielny. Więc kiedyśmy szli ramię w ramię, powiedział: — ty, żebyś w razie jak ja upadnę, nie zatrzymywał się dla tak małego powodu — powiedział — nie możesz zaniedbać najważniejszej rzeczy, ataku na wroga! I ja, proszę siostry, kiedy dziadek padł, nawet nie wiem, w jakim to było momencie, zachwiał się w tył, a potem skurezył i upadł, ja, mimo to, co on mi powiedział, ja chciałem, proszę siostry, wyrwać się z tego twardego szeregu i zostać przy nim! Ale oni szli naprzód tak twardo, jakby skuci łańcuchem! Ponieśli mnie, proszę siostry, ponieśli... A dziadek, Jan Kapistran, został na łosie!... Napewno zdeptali go, przechodziły po nim takie ogromne szeregi butów! Boże, może on jeszcze żyje! może się męczy, tam, na tej szosie i woła mnie... woła mnie!... (Dok. nastąpi)

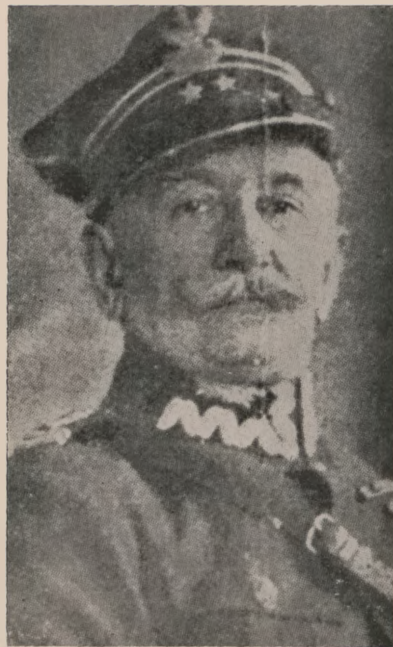


Tak wygląda dzisiaj grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA

OR - OT (ARTUR OPPMAN) 1867 - 1931

LIST KSIĘCIA JÓZEFA



Płk. Artur Oppman

Nocą, z obozu, Najjaśniejszy Panie,
Piszę do Ciebie ten żołnierski list,
Jeszcze mam w uszach trąb Dubienki granie
I spod Zieleniec szcęk szabel, kul świst;
Na wieść z Warszawy, z oficerów korem,
Jam się z mym polskim rozsądzał honorem
I z twych się, królu wypisuję list!

Sercu rycerza ciężka chwila taka,
Kiedy z karnością musi toczyć bój,
Alem ja pierwej miano miał Polaka,
Zanim, o królu, wdziałem mundur twój!
Byłeś mi ojcem, Najjaśniejszy Panie,
Ale mnie Matki dobiega wołanie:
Tam jest me serce, posterunek mój!...

Twarde te słowa, niech mi Bóg przebaczy,
Bo wiem, jak krwawo ranią łono twe,
Lecz, mój monarcho, lepiej zginąć raczej,

Niż wlec w kajdanach pohańbione dnie!
Gdybyś tu, królu, z podniesioną głową
Pod swą chorągwią stanął purpurową —
Duch by zwyciężył, co jak wulkan wre!...

Jeszcze nade mną szumią polskie znaki:
Anioł z Pogonią, z Orłem samotrzeć!
Jeszcze mi moje hukają kozaki:
"Ba!ku Josypie! na armaty wiedz!"
Lecz już z Illińskim, z Wielhorskim, z Kościuszką
Nie skoczę wichrem z moją białonóżką,
Wołając do niej: "Leć na wroga, leć!"

Nie mogąc umrzeć jako bohaterzy
Dla Ciebie, królu, i ojczyzny swej,
Z listem ci moje odsyłam ordery,
Te, które wszystkie miałem z łaski twej;
Z jednym się tylko nie rozstanę długo:
Z krzyżem "Virtuti", zdobytym zasługą —
Ten mi do trumny kiedyś włożyć chcesz!...

Porozpraszeni, jak przez burzę ptactwo,
Nim na mogiłach braci wzejdzie wrzos,
Z towarzyszami pójdziem na tułactwo,
Ojczyzny miłej opłakiwać los;
Zwykle do konia i oręża dłonie
Cóż będą czynić w cudzej, obcej stronie,
Gdy z trosk przedwczesnie pobieleje włos?..

Za nich to, królu, za moich kamratów!
Do królewskiego czucia wstawiam się:
Oni szli mężnie na ogień granatów,
A iluż legło w nieprzespanym śnie!
Wdowom, sierotom i tym, którzy w ranach
Na ziemi polskiej zostaną w kurhanach,
Daj chleb: niech obcy nie sromoci je!

A teraz, królu, myślę, jak to lepiej,
Jak mam zakończyć krwawy życia szmat:
Czyli się tobie przypomnieć: "Twój Pepi",
Pepi z tych dawnych, łazienkowskich lat?
Czy mam krwią serca nakreślone głoski

Podpisać tylko: "Józef Poniatowski" —
Króla czy tryja zostawić tu ślad?...

W namiocie świta — i słyszę wezwanie,
Ze już mi pora za ojczyzny próg!
Zegnam cię tedy, Najjaśniejszy Panie,
Jako wędrowiec — u rozstajnych dróg.
Zegnam cię, — królu! Ja o jedno proszę:
Niechaj do śmierci, jako sztandar, noszę
Ten honor Polski, co mi zwierzył Bóg!...

STAREMU MIASTU NA POŻEGNANIE

Zamykam książkę... Pada w płatach śnieg,
W bajkę ze srebra Powiśle zamienia...
Mój staromiejski świat już w grobie legł —
I nie mam więcej nic do powiedzenia.
Przyleci wiosna zza mórza i zza gór,
Kwiaty się ockną ze śniegów powicia,
Zielenią stary rozbarwi się mur,
Lecz sen mój młody nie wstanie do życia...

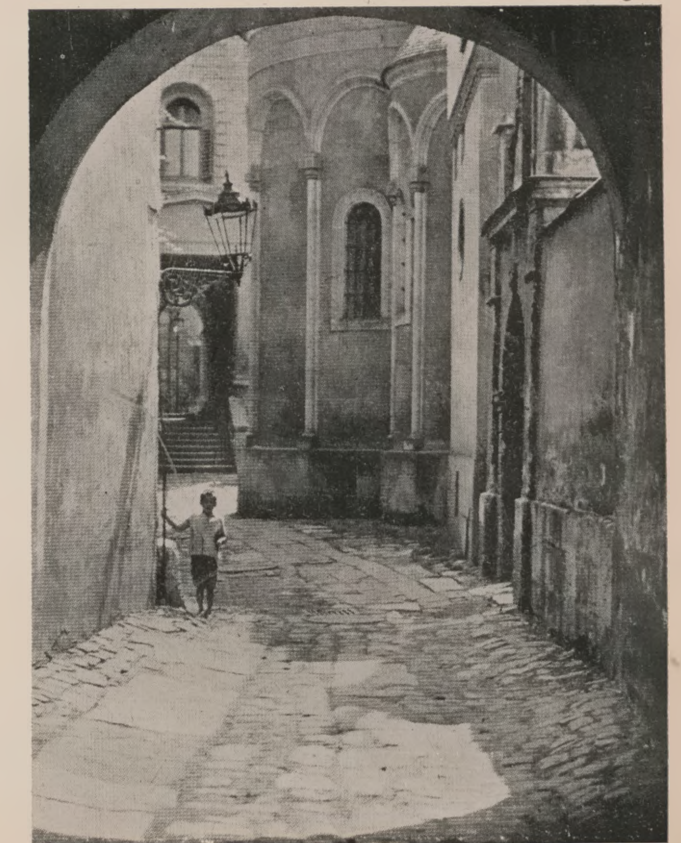
Wyglądam z okna, patrzę w śnieżny świat,
W okienka patrzę, gdzie się płomyk pali:
Jakże bym chętnie dzień wieczności skradł
I wrócił przyszłość uśmiechniętą w dali!
Na Stare miasto, nie zmienione nic,
Cicho i sennie śnieg płatkami prószy.
Dziedzino moja! takaś sama z lic,
Ale już nie masz swojej dawnej duszy!

Stare ulice, stare domy w krąg
Inaczej dźwięczą, niż w mej wiosny porze:
Nowego życia rozwija się pęk,
Nowemu życiu pobłogosław, Boże!
Wiem, że nie chwila sięgać w zmarłą dal,
Gdy wielkie słońce rozplomienni zgłiszczą,
Ale mi jednak tamtych ludzi żal,
Walczących za to co się teraz ziszcza.

Gdziemkolwiek stanął w najczarniejszych dniach,
Przy kajdan brzęku i przy świście knuta,

Tu był, o Polsko, twojej chwały gmach
I żyłaś tutaj wolna i rozkuta.
Z tych prostych ludzi, których sercam znał.
Tryskała wiara, jak krzyż Męki, święta,
A jam tę wiarę do mych pieśni brał
I jak modlitwę, kładł na twoje pęta.

Zakłęste groby omotała pleśń,
I tamto życie nigdy już nie wstanie,
Ostatnią tobie poświęconą pieśń,
O, Stare Miasto, weź na pożegnanie!
Wybuchnie z duchów nowych pieśni zdroj,
Tej, która teraz wstaje w krwi i dymie,
Lecz z twymi łzami, stary świecie mój,
Jam już na zawsze związał swoje imię!...



Zaulek staromiejski

JERZY ANDRZEJEWSKI

P O W R Ó T

FRAGMENT POWIEŚCI "NATCHNIENIE ŚWIATA"

(Ciąg dalszy)

Wprawdzie w ciągu ostatnich tygodni Gaszycki nie oglądał niczego innego prócz zniszczenia, jednak widok tego pierwszego zrujnowanego w Warszawie domu wstrząsnął nim silniej, niż wszystko, co widział dotychczas. Wydało mu się naraz niepodobiestwem, aby mógł swoich bliskich odnaleźć żywymi i dom, który opuścił, uratowany od zagłady. Wszystkie wieści o rozmiarach zniszczenia Warszawy, jakie obijały się ostatnimi dniami o jego uszy, nabierać teraz zaczęły przerażającej prawdy. I przez moment ogarnął go lęk straszliwy przed dalszą drogą, przed koniecznością dowiedzenia się za parę godzin wszystkiego, iż odruchowo zwołał kroku, zaczął przystawać i nieomal z ulgą pozwalał się wymijać innym ludziami. Potem opadł go gwałtowny i niecierpliwy niepokój nadziei. Zapragnął jak najszybciej znaleźć się w domu i jak przed chwilą zmuszał się do zwlekania, tak teraz, chcąc powetować stratę czasu, zaczął prawie biec. I już przez cały czas aż do końca targały nim te dwa sprzeczne uczucia. Nie pamiętał, aby w całym swoim życiu odhylał kiedykolwiek drogę równie długą i męczącą.

Pogoda, jak we wszystkie dni z początku owego października była chłodna, wilgotna i wietrzna. Nie nie przypomniało tak niedawnych i nieprawdopodobnie pięknych dni wrześniowych. Stała się nagle głęboka, późna jesień z niebem beznadziejnie zaciągniętym szaremi chmurami, bez skrawka słońca i z powietrzem przenikającym do szpiku. W taki to czas tysiące ludzi wracało z wędrowki po drogach do swoich opuszczonych przed kilku tygodniami domów.

W mieście nie wygasły jeszcze pożary. Gdy w ostatnich dniach oblężenia zabrakło wody, nikt ich już nie gasił. Dopalały je więc wolno i jeszcze teraz, po tygodniu, ogień tu i ówdzie tlił się wśród nagich, szerniałych murów; dymyły gruzy i rumowiska, a żar bił od rozgrzanych zgłiszcz. Gdzienigdzie ciepłe jeszcze popioły wymiały wiatr z pomiędzy pogorzeliśk, szara kurzawa niosła się wtedy ponad ulicami i strzępy czarnych papierów fruwały w powietrzu, którego niebieskawo, z lekka przymglony koloryt nasycił całe miasto martwą poświatą. Dobrze znany Gaszyckiemu gryzący swąd spalenizny unosił się dokoła. W wielu jednak miejscach zabijał go dławiący odór rozkładających się trupów, nie zdążono bowiem

jeszcze zewsząd powydobywać zwłok z pomiędzy gruzów i z zawałonych piwnic. Choć ulice pełne były ludzkiego mrowia, cisza całkiem niemiejska wszędzie panowała. Obco rozbrzmiewał wśród ruin turkot wiejskich wozów. Czasem z łoskotem i z dudnieniem przejeżdżały na pełnym gazie ciężarowe platformy z niemieckimi żołnierzami.

Aby dostać się do domu, Gaszycki musiał przejść przez całe miasto aż na przeciwny jego kraniec. Dziwnie wyglądały te ciemne tłumy w milczeniu posuwające się środkami jezdni, wśród rumowisk lub kamienic porozdzieranych, jak wielkie otwarte rany. Chodnikami mało kto szedł, zawałone bowiem były gruzami i szkłem. Co krok zresztą jakiś zniszczony dom odarta z tynku i samotnie sterczącą ścianą, lub dachem strzaskanym i wiszącym w próżni nieomal, groził runięciem. Poprzez puste ściany powypalanych budynków przeziarało niebo szaro-żółte, niewymownie smutne, kiedy indziej zaś, w miejscach, gdzie kilka posesji uległo pod rząd zniszczeniu, ukazywało się ono ponad ruinami tak rozległe i ogromne, jakim nigdy w mieście nie bywało. Najboleśniej przeciw wyglądały te domy, w których zawałone ściany frontowe odsłaniały wnętrza: pogruchotane podłogi i sufity, tynki popękane, koliste tapety lub malowania, jakieś szczątki umeblowania zawieszane ponad przepaścią. Te zaś kamienice, które ocalały, czerniały pustymi oknami, a mury ich pokiereszowane były licznymi śladami pocisków. Większość wystaw sklepowych pozabijana była deskami. Wszystko, co sobie Gaszycki do tej pory wyobrażał o rozmiarach zniszczenia, było blade w porównaniu z widokiem tego miasta, które, gdy je opuszczał, tętniło życiem, światłem i ruchem i pięknnością lata.

Na niektórych ulicach wznosiły się szczątki barykad: ziemia nawieziona, spiętrzone deski i ławki, zasięki kolczastego drutu. W wielu miejscach jezdnie porozrywane były lejami po bombach. Leżały także, podobne do obalonych drzew, poprzetrwane latarnie, skrócone szyny tramwajowe. Na rogach ulic widać było kioski rozbite i pogięte słupy reklamowe. Gdzie zaś rynsztoki zasypał gruz i odłamki, tam woda, nie mając gdzie ściekać, brudnymi, po brzegach z lekka spienionymi bajorami rozlewała się po spękanych asfalcie. Nad ulicami, dziwnie poskręcane, zwisały rude kłoby przewodów tramwajowych.

Idąc Krakowskim Przedmieściem ujrzał Gaszycki w pewnym momencie siną, na tle niebieskich drzew ogrodu Saskiego bardzo wyraźnie i delikatnie zarysowaną kolumnę, która otaczała w głębi placu grób Nieznanego Żołnierza. Nad nią czerwieniła wysoko na wietrze łopocząca flaga z czarną swastyką. Cisza panowała dokoła śmiertelna. Słychać było wśród niej tylko suche trzeszczenie chrzęszczącego pod nogami przechodzących szkła.

U końca drogi, w miarę zbliżania się do domu, Gaszycki obojętniał na grozę ruin. Wrażliwość stępiała w nim i dręczyła go teraz jedna już tylko myśl: dręczące poczucie bezsilności wobec własnego losu, który się dokonał był, lecz którego nie znał. Nigdy dotąd nie zastanawiał się, iż może przy sobie nie mieć nikogo bliskiego. Nie znając samotności, nie myślał o niej. Ufał swojemu losowi, jak wszyscy ludzie, którzy nie ponieśli dotkliwszych porażek i nie znali głębszego cierpienia. Dopiero teraz po raz pierwszy uświadomił sobie na jak kruchych i niepewnych wiązaniach spoczywa to wszystko, co za swój udział w życiu uważał i co, jak mniemał, stanowiło treść i sens jego istnienia. Poczul nagle, że nie umiałby żyć sam. I gdy w podobną możliwość wnikł i tracił w chwilach zwątpienia nadzieję, aby mogło być inaczej i los go oszczędził tym razem, przychwytywał się wówczas na przerażeniu tak dręczącym, iż nie przypuszczał do tej pory, że człowiek może popaść w równe zablakanie i trwogę.

Było wczesne zaledwie popołudnie, kiedy dotarł do swojej żoliborskiej kolonji. Ostatni odcinek drogi, pustą i rozległą przestrzeń niezabudowanych terenów dokoła Cytadeli, przebył o niczem już całkiem nie myśląc, z głową pustą, lecz z sercem gwałtownie pulsującym aż w krtani. Nie zauważył nawet licznych mogił, równymi rzędami krzyżów biegnących u podnóża wałów dawnej fortecy. Wiatr tutaj na tym wydmuchu hulał w najlepsze. Schodząc z przerzuconego ponad torami kolejowemu wiaduktu, ujrzał Gaszycki piekąciami od ostrego podmuchu oczyma rozległy Żoliborz w dole: mnóstwo równych, prostokątnych bloków, szarawych w przymglonym powietrzu, wśród nich czerwone dachy willi, a nad wszystkim niebo tak samo rozległe, jakim je zawsze widział wracając z śródmieścia do domu. Zdaleka wszystko w tej stronie miasta zdawało się przetrwać bez zmian. (Ciąg dalszy nastąpi)

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Walne zebranie Organizacji Narodów Zjednoczonych otwarte zostało, d. 23 października r. b., dosyć długą mową prez. Trumana. Znowuż głoszona była konieczność zapewnienia światu pokoju, zapewnienia światu wolności od obawy wojny (freedom from fear of war); znowuż było głoszenie zasady, że różnice systemów gospodarczych i socjalnych nie mogą stanowić przeszkody na drodze do pokoju trwałego. Prez. Truman, przytem, potępił szerczące się coraz bardziej, nietylko w Europie ale i na hemisferze zachodniej, pogłoski o wojnie, o przygotowaniach wojennych, dopatrując się w takiej mentalnej atmosferze niebezpieczeństwa, zagrażającego wysiłkom, czynionym w celu ustalenia i utrwalenia pokoju światowego. Wrażenie, wywołane przez mowę Prez. Trumana było nikłe, mimo, że Mołotow, dwukrotnie podbiegał do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, zapewniając go, że mowa była wspaniała (wieli kolepnaja). Inne uroczyste przemówienia nie bardzo odbiegały swym gatunkiem od mowy prezydenckiej. Wytwarzały atmosferę oficjalnego odurzenia, zawierając głównie słowa nadziei a pomijając prawdziwy stan położenia międzynarodowego.

Zbieg okoliczności zrzucił, że prawie jednocześnie z temi mdławami przemówieniami oficjalnymi, wygłaszanymi w gmachu powystawowym we Flushing Meadow Park, toczyła się, w brytyjskiej Izbie Gmin, dwudniowa dyskusja w kwestiach polityki zagranicznej. I, podczas kiedy na inauguracyjnej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych starano się kadzidłami oficjalnej produkcji przyjemnie odurzać zebranych delegatów pięćdziesięciu i jednego krajów, w Londynie, w brytyjskiej Izbie Gmin podawano opinii światowej ostre sole trzeźwiące, wskazując na to, że nie pogłoski o nadszarpniętej wojnie światowej są zagrożeniem pokoju, jeno takim zagrożeniem są posunięcia militarne i międzynarodowo-polityczne sowieckie. — Minister spraw zagranicznych Ernest Bevin, bez obślonek wskazywał, że istnieją trzy zasadnicze systemy socjalno gospodarcze, ze sobą kolidujące i, że to właśnie stanowi jedną z głównych przyczyn komplikacji międzynarodowych, że pokój światowy wymaga, aby znaleźć modus vivendi, ale Bevin nie dał, bo dać nie mógł, zapewnienia, że taki złoty środek da się skonstruować. Dany przez Bevina rzut sytuacyjny, dotyczący faktycznego stanu w główniejszych ogniskach powikłań międzynarodowych, wyraźnie ujawniał, że pogłoski o wojnie nie są plotkami, chwytanymi z powietrza,

jeno mają swe realne źródła. Oświecił te właśnie źródła Winston Churchill, twierdząc, w formie zapytania, skierowanego do ławy rządowej, że Rosja Sowiecka skoncentrowała pomiędzy Bałtykiem a Adjatykiem, pomiędzy Berezyną a Łabą — armję bojową dwumiljonową. Odpowiedź rządu brytyjskiego — rzecz to właśnie znamienna — była o tyle jasna, że twierdzenia Churchilla nie zdementowała, bojąc się potwierdzić, ze względów t. zw. przezorności dyplomatycznej.

Nie mniej znamionem było wystąpienie premiera brytyjskiego Klemensa Attlee na zjeździe brytyjskich trade-unionów. Odparowując ataki wymierzone przez oczekującą w stronę Moskwy grupę delegatów unijnych, Attlee uderzył mocno w sowiecką "ścianę ignorancji i podejrzeń", za którą to ścianą Moskwa fałszywie przedstawia stan rzeczy w krajach zachodnich. Attlee wzywał zjazd trade unionów, aby ułatwiał rządowi akcję wzmocnienia brytyjskich sił zbrojnych przez popieranie werbunku 1 miliona ochotników, wskazując, że położenie międzynarodowe wymaga szybkiego wzmocnienia siły zbrojnej Wielkiej Brytanji.

Rząd brytyjski, trzeźwo oceniając położenie międzynarodowe, zwłaszcza wobec niewątpliwego faktu, że Rosja Sowiecka rozszerza i wzmacnia swoje bazy militarne i polityczne na Bliskim i Dalekim Wschodzie, nie zaniedbuje sprawy obrony Imperjum Brytyjskiego. Ciągłe konferencje sztabowe, objazdy inspekcyjne, utworzenie ministerjum obrony narodowej, wreszcie rozpoczęcie formowania nowej, uzupełniającej linii strategicznej Imperjum, opierającej się na nowych bazach zachodnio- i wschodnio-afrykańskich, są dowodem przezorności oraz trzeźwości rządu brytyjskiego.

Trzeźwość taka i przezorność jest tem bardziej potrzebna, że Moskwa nie zaniedbuje niczego, aby tylko wywołać jaknajwiększe zamieszanie, trzymając się założeń, oddawna stanowiących jeden z kanonów dyplomacji sowieckiej, mianowicie, że w mętnej

wodzie łatwiej łowić ryby. Wywiad prasowy ze Stalinem, ogłoszony d. 28 października i wielka mowa Mołotowa, wygłoszona na pełnej sesji UN, następnego dnia, po ogłoszeniu wywiadu stalinowskiego, oświeclają taktykę sowiecką jasno. Podczas kiedy Stalin pokazuje ciastko, Mołotow wymachuje batem. Między twierdzeniami i zapewnieniami Stalina a groźbami i monitami Mołotowa istnieje duża różnica, pod względem rzeczowo-politycznym; podczas kiedy Mołotow odgrywa rolę nieprzejednanego, Stalin ukazuje się w roli wyrozumiałego patrona, skłonnego do kompromisów. Rezultat tej sprytnie wyreżyserowanej gry sowieckiej jest taki, że w kołach dyplomacji, zwłaszcza amerykańskiej znowu ujawnia się niepewność, jak dalej postępować: twarzo czy miękko. Ale taka niepewność nie potrwa zbyt długo; najbliższe już sesje komisyjne i plenarne UN doprowadzą do wyklarowania położenia; na porządku dziennym bowiem znajdują się kwestje arcy-sporne: naprzykład, sprawa powiernictwa mandatowego przedewszystkiem, przy rozważaniu której to kwestji wyleje cały apetyt sowiecki na Dalekim Wschodzie.

Również na rozpoczętej, d. 4 b. m. w nowojorskim hotelu Waldorf Astoria, konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki szybko się wyjaśni czy o kierunku polityki sowieckiej decyduje "kompromisowość i pogodny spokój" Stalina czy też "ostrość i nieprzejednanie" Mołotowa. W izolowanych policyjnie salonach Waldorf Astorji będzie się szukać kompromisów aby nareszcie spisać formalnie traktaty pokojowe z pięcioma krajami satelitami Niemiec. Szukać się będzie rozwiązania w kwestji Triestu i granicy włosko-jugosłowiańskiej; szukać się będzie wyjścia z zaułka dunajowego i in. Ze strony anglo-saskiej spodziewano się, naprzykład, że sprawę Dunaju da się wyklarować na specjalnej konferencji, jaka miała się zebrać we Wiedniu, zwołana za pośrednictwem Sekretarjatu UN. Konferencja taka nie doszła do skutku i nie dojdzie, ponieważ Jugosławja odmówiła udziału, zaś Rosja Sowiecka chce konferencję ograniczyć do narady krajów naddunajskich tylko. Jest to jeno słaba ilustracja stopnia powikłania tych wszystkich zagadnień, jakie zamierzają rozwiązać teraz ministrowie Wielkiej Czwórki.

Czy zdołają rozwiązać "kompromisowo"? Zdołają, ale "kompromis" będzie pełnem ustąpieniem jednej ze stron spierających się. Kwestją główną jest teraz kto ustąpi: mocarstwa anglo-saskie czy Rosja Sowiecka?

PROSIMY
ODNOWIĆ
PRENUMERATĘ
"TYGODNIKA
POLSKIEGO"

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

Pionierzy polsko-amerykańskiego przemysłu i handlu

GUSTAW STRUMIŃSKI



— Tak, to było pod koniec maja w 1905 roku w Łodzi. Nigdy nie zapomnę tej niedzieli. Tłum, trzydziesto tysięcy tłum odprowadzał na cmentarz żułki kilku robotników zamordowanych przez kozaków w fabryce Grohmana w czasie generalnego strajku. Białe ubrane dziewczęta niósły szarfy z napisami: "Precz z carem! Niech żyje wolna i niepodległa Polska!". A w takt dźwięków pepesowskiej orkiestry śpiewali wazycy... jakże to było... zaraz... zaraz...

I tu zabłyśły oczy starego socjalisty i bojowca, p. Gustawa Strumińskiego a w pokoju rozległ się jego pełen mocy głos:

"Kajdanów złowrogich rozlega się brzęk

Dziś gody wyprawia przeklęty nasz wróg . . .

— no, widzi pan, zapomniałem, ale wiem, że końcowa zwrotka brzmiała: "Stój, marna twa radość, tyranie, o stój!

Bo chwila nadejdzie, nadejdzie twój zgon . . ."

W ten niedzielny wieczór majowy zdecydował się moją wyjazd do Stanów.

— Bo . . .

— Bo dano mi znać, że jeżeli nie zniknę to będzie ze mną źle.

— Sybir?

— Myślę że gorzej by było Mego

przyjaciela i współtowarzysza Koperka, takeśmy zawsze nazywali Janka Koperskiego, wystąpi na Sybir chociaż w mniemaniu żandarmerji rosyjskiej "przeskrobał" on znacznie mniej niż ja. Kierowałem wtedy sekcją naszej bojówki i mieliśmy na koncie kilku "psów".

— Psów . . . ?

— No tak, "psów" . . . szpicli ochrony. Ostatnio zlikwidowaliśmy trzech na Placu Wodnym, przy fabryce Scheiblera. A za to groził więcej niż Sybir. Więc tego samego jeszcze wieczora, nie żegnając się nawet z żoną, wyjechałem do Warszawy. Starania o papiery—a 12 lipca tegoż roku, wyładowałem w Nowym Jorku.

Okazało się że "Bizon" (taki był pseudonim partyjny p. Gustawa Strumińskiego) miał wielu oddanych przyjaciół w szeregach PPS, bo w listopadzie witał w porcie nowojorskim swoją małżonkę i kilkuletniego synka, Feliksa. Przed wyjazdem, pani Balbina Strumińska badana była kilkakrotnie przez agentów ochrony i żandarmerji poszukujących bez przerwy "Bizonia".

Z ożywieniem i sentymentem dla wspomnień i gorących lat młodzieńczych, opowiadał p. Strumiński senior o zebraniach jakie odbywały się w jego łódzkim mieszkaniu, do którego schodzili się patrijoci by omawiać przyszłe akcje, gdzie opracowywano instrukcje i planowano likwidację szpiclów wężących po fabrykach łódzkich.

— "Koperek" pisał do mnie, tu do Ameryki z Syberji . . . Dawne czasy, piękne czasy młodości i walki. Dziś inni walczą w kraju o to o co myśmy walczyli kiedyś. Dziś inni umierają na Sybirze i nawet listów od nich nie otrzymujemy . . . I dziś rozlegają się strzały na ulicach miast polskich, a pieśń o tyranach aktualna jest niestety i nadal.

W POPRZEDNIM 43 (200) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Jan Wolny: Jeszcze raz granice zachodnie; Jan Szczawiej: Powstanie świętością Warszawy; Marjan Hemar: Płomyk; Michał Zoszczenko: Opowiadanie o małpie; Wiktor Budzyński: Na wędkę; Jerzy Andrzejewski: Powrót; Franciszek J. Wazeter: Rozmowy z Polonją; Kronika polsko - amerykańska; Opinie i zdarzenia.

Jeden z pracowników piekarni przywołał nas do spraw przyziemnych. Po chwili zwiedzaliśmy ogromną i nowoczesną piekarnię p. Gustawa Strumińskiego, wyposażoną w najnowsze maszyny i będącą jedną z największych piekarń cukierniczych na Wschodzie Stanów.

— Nie odrazu tak było. Moja solidna praktyka piekarska w Polsce zapewniła mi na początku stanowisko zarządzającego w jednej z niemieckich piekarń w Nowym Jorku. Ale już w 1908 założyłem własną piekarnię na Brooklynie, z kapitałem zakładowym 50 dolarów!

Roześmiał się p. Strumiński na wspomnienie tego "kapitału", dodając, że ratował go kredyt który zdołał sobie wyrobić w branży piekarskiej. Dziś ze słuszną dumą opowiada mi po tem wielkiem przedsięwzięciu, po składach obszernych i magazynach pełnych surowca. Zwiedzamy sklep, biura, halę pełną wymyślnych maszyn, wzorowe urządzenia sanitarne. Prawie 50 osób pracuje w tem przedsiębiorstwie i tyleż samochodów rozwozi produkty "Warsaw Bakery", słynnej z babek i pączków. Pan Gustaw Strumiński mimo 69 lat, zawsze rzeźki, jeszcze ciągle pracuje, choć zarządzającą tej piekarni, która się ciągle rozbudowuje i której produkcja tygodniowa sięga sumy 25 tysięcy dolarów, jest jedyny syn Feliksa.

Gdy sprawa polska woła — pan Gustaw Strumiński jest zawsze jeden z pierwszych i najhojniejszych. Bierze czynny udział w życiu społeczności polsko-amerykańskiej, a nie tak dawno był marszałkiem dorocznej parady Pułaskiego.

Doczekał się wnuczka a raczej już wnuka, Tomasza-Ryszarda, który po trzyletnich studjach chemji wstąpił do wojska, skończył szkołę oficerską i po przejściu całej kampanji europejskiej w wojskach spadochronowych, zrzucił mundur porucznika by ukończyć studia — chemję piekarstwa i piekarstwo w specjalnej uczelni w Minneapolis, Minn.

— Tomek kiedyś obejmie to wszystko. Teraz z synem planujemy rozszerzenie budynków i produkcji. Nie można stać w miejscu.

Jakże daleko wydaje się czas, gdy powstała mała piekarenka z kapitałem 50 dolarów! I jak miło jest wspominać Łódź, towarzyszy z których wielu już nie żyje i prostować się mimowoli, strząsając brzemień lat, jak na "Bizonia" przystało.

Tes.

WALNY ZJAZD KOMITETU NARODOWEGO A. P. P.

Piąty Walny Zjazd Delegatów Komitetu Narodowego Amerykanów Pochodzenia Polskiego odbędzie się w dniach 16-go i 17-go listopada 1946 roku w salach hotelu Woodstock, 127 West 43 St., New York City.

W przedzjazdowej odezwie, podpisanej przez prezesa tej organizacji p. Fr. Januszewskiego i sekretarkę, p. E. Szczawińską, czytamy m. inn. co następuje:

"Mimo tego, iż działania wojenne dawno już ustały, pokoju upragnionego przez wszystkich ludzi na świecie nie widzimy. Zalew czerwonego imperializmu ze wschodu grozi coraz wyraźniej światu, niosąc za sobą niewolę, bezprawie, gwałt i poniżenie narodów i ludzi. Ostatnie doświadczenia na terenie organizacji Zjednoczonych Narodów i obecne praktyki na konferencji pokojowej w Paryżu budzą zgrozę w każdym uczciwym człowieku i napełniają go troską o najbliższą przyszłość. Ojczyzna ojców i braci naszych Polska, pada w dalszym ciągu ofiarą despotyzmu i zabobrości Sowietów i wysługujących się im rodzimych zdrajców. Pogłębia się ona coraz bardziej w chaosie, bezprawiu i niewoli.

W takich warunkach politycznych zwołujemy 5ty Zjazd Delegatów naszej organizacji. Wzywamy wszystkie Oddziały i Okręgi do jak najliczniejszego udziału w nim przez swych należycie uprawnionych delegatów. Mamy radzić nad sprawami wielkiej wagi zarówno dla Polski, jak i Ameryki".

WYNIKI ZBIÓRKI MILJONOWEJ W NOWOJORSKIM WYDZIALE

W niedzielę, dnia 3 listopada, przemawiał przed mikrofonem stacji nowojorskiej WHOM, p. Jan Pol, kierownik kampanji zbiórkowej na Kongres Polonji na terenie nowojorskiego Wydziału Stanowego. Poniżej cytujemy końcowy ustęp tego przemówienia, zawierający informacje o wynikach zbiórki:

"Pragnę podziękować z głębi serca wszystkim, którzy z nami w tej sprawie współpracowali. W szczególności dziękuję Wielebnemu Duchowieństwu, Organizacjom o krajowym zasięgu, Centralom Towarzyst, Gminom, Ligom, Osadom i Kolonjom i wszystkim zrzeczeniom naszym za pomoc i udział w zbiórce, a specjalnie ofiarnym i patriotycznym kolektorom i kolektorom — wreszcie całej prasie polskiej, która nas tak serdecznie poparła.

Czas nie pozwala mi na drobiazgowo sprawozdanie, niechże mi jednak

będzie wolno w ogólnych przynajmniej zarysach dać świadectwo ofiarności Polonji w poszczególnych dzielnicach. Tak więc w powiecie Kings t. j. w Brooklynie, Polonja zebrała na Fundusz Miljonowy \$16,231.37, w Manhattan \$7,318.85, w Quenns \$5,167.72, w Westchester (Yonkers i Port Chester) \$4,759.01, w powiecie Suffolk na Long Island — \$4,436.68, w powiecie Nassau na Long Island — \$4,070.96, w dzielnicy Bronx — \$1,308.45, w powiecie Orange — \$1,140.30, w powiecie Richmond (na Staten Island) — \$1,090.90, w powiecie Columbia (miasto Hudson) \$213.00, w Poughkeepsie — \$55.00, w powiecie Ulster — \$168.60. Robotnicza Kasa Pomocy zebrała \$1,836.60. Datki większe złożyli: p. Jan Hrabush — \$1,000.00, pani J. Burr — \$1,000.00, pani Janina Węgrzynkowa \$500.00, dr. Sawicki z Brooklyna — \$500.00".

DZIAŁ POLSKI NA MIĘDZ. WYSTAWIE KOBIECEJ

Dnia 4 listopada otwarta została w Zbrojowni 71 pułku (Park Ave. i 34 ulica w Nowym Jorku) Międzyna-

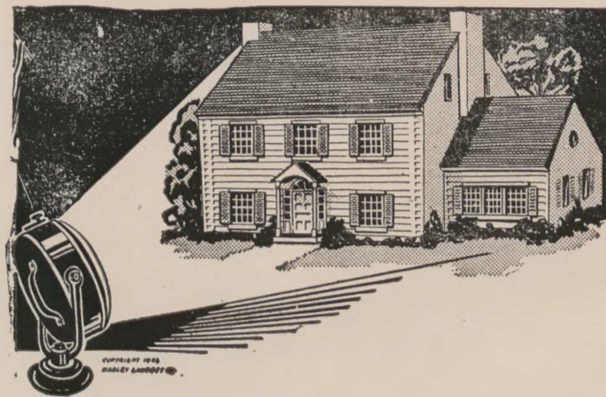
rodowa Wystawa Kobieca, na której dział polski wybija się artystycznym gustem i pomysłowymi dekoracjami.

Dział ten zorganizowany został przez Klub "303", który przyjął nazwę od słynnej polskiej eskadry lotniczej. Dzień otwarcia był równocześnie dniem polskim urozmaiconym specjalnym programem artystycznym.

Na uroczystości otwarcia działu polskiego, która zgromadziła dużą ilość Polaków-Amerykan, przemawiały panie: małżonka ambasadora Ciechanowskiego, wielka przyjaciółka Polski Ann' Su Cardwell oraz Angielka, porucznik armji polskiej, Diana Tauber.

Klub "303" wywiązał się doskonale ze swego zadania dzięki bezinteresownej pracy członkiń oraz tak cennej pomocy ze strony grupy artystów polskich przebywających w Stanach. Polskie malarki, rzeźbiarki i graficzki projektowały i urządziły polski dział.

Wystawa otwarta będzie do dnia 10 listopada i dostępna jest codziennie od południa do 11 w nocy.



GUSTOWNE I SOLIDNE MEBLE ORAZ PIECE, LODÓWKI
ELEKTRYCZNE, RADJA, MASZYNY DO PRANIA,
DYWANY I LINOLEUM

poleca w wielkim wyborze

PULASKI FURNITURE CO.

STEFAN MYŚLIŃSKI, właściciel

693-5 MAIN AVENUE

PASSAIC, N. J.

naprzeciw Stacji Kolejowej Erie

Wszystkie autobusy z Nowego Jorku zatrzymują się przed składem

OPINJE I ZDARZENIA

"NA WAWEL, NA WAWEL KRAKOWIACZKU MŁODY"

Podobno panu Langemu, który jak wiadomo zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego aby zostać t. zw. "polskim ambasadorem" w Waszyngtonie, zaproponowano katedrę w Krakowie. Pan Lange, powróciwszy ze swej pierwszej podróży do Polski dużo opowiadał o tem jak tam jest cudownie, z jaką radością lud polski pracuje w atmosferze nareszcie uzyskanej wolności. Jest więc teraz dobra dla pana Langego okazja aby napić się tej wolności i wreszcie mieć swoją przyjemność po tylu nieprzyjemnościach, których doznał od "męcicieli pokoju" i "faszystów" w UNO, od society waszyngtońskiej, jak od morowej zarazy stroniącej od jego "salonów", od Polonji amerykańskiej, która raz na zawsze zapowiedziała panu Langemu i jego bandzie, że nie chce mieć z niemi nic wspólnego. Zobaczymy teraz czy pan Lange będzie się do tej przyjemności kwapił, czy będzie tak skwapliwie dążył do bierutowskiego rajku jak na powrót do niego innych namawiał. I ciekawi jesteśmy czy pakując swoje manatki nie zaklnie pan Lange na wspomnienie tej chwili, w której zrzekł się obywatelstwa Stanów Zjednoczonych i pozbawił się w ten sposób opieki, być może bardzo cennej na wypadek gdyby wolność w Krakowie zaczęła mu ciążyć i zdjęła go tęsknota za faszystowską Ameryką.

"AMBASADOR" WIENIEWICZ, STARY KOMUNISTA

Pan Józef Wieniewicz, który jadł chleb z jednego pieca a raczej ze wszystkich pieców wszystkich po kolei rządów polskich, który nie może chyba powiedzieć, że nie wiedział co robi kiedy pracował z sanacją i dla sanacji — ma zostać podobno ambasadorem w Waszyngtonie na miejsce pana Langego, który nie podoba się nietylko panu Byrnesowi i kolegom z korpusu dyplomatycznego ale którego też nie lubią w Warszawie i nawet we własnej ambasadzie, gdzie przynajmniej trzech najnowszego chowu bolszewików miało apetyt na jego posadę. Dlaczego pan Wieniewicz — tego nikt nie jest w stanie pojąć — i doprawdy, że musi być bardzo źle z warszawską dyplomacją skoro na naczelnym posterunku zagraniczny posyła się takie dziesięć orzędne figury, o których wszyscy wiedzą, że tylko dla chleba poszli pod rozkazy sławnego plagjatora i że takimi rządząc się zasadami zrobią wszystko co im każe "Bezpieka".

A inna rzecz, że jest to oczywiście bez znaczenia kto zajmować będzie lokal w Waszyngtonie, zaszabrowany

przez Bieruta prawowitemu rządowi polskiemu. Bo na to aby zapisać sobie na kartce co pan Mołotow każe albo zapamiętać adres rosyjskiego konsulatu nie potrzeba zaraz jakiegoś Metternicha czy Talleyranda i pan Wieniewicz na to zupełnie wystarczy. I z kim ma taki "ambasador" mówić, kto z nim będzie gadał? Littauer, Pruszyński i Rajchman. Do takich rozmów pan Wieniewicz jest akurat w sam raz "głową" i dobranem towarzysztem.

RAJCHMANINOW

Słyszeliśmy ostatnio bardzo dobre przezwisko dla dr. Ludwika Rajchmana, niegdyś wysokiego urzędnika Ligi Narodów z ramienia również min. Becka, później entuzjasty Chiang Kai Szeka, którego nazywał jedynym żyjącym genjuszem politycznym, obecnie zaś bardzo niezgrabnego doradcy warszawskiej, jak to pięknie napisał Jan Wolny, "meliny".

"Rajchmaninow". To muzyczne przezwisko oddaje doskonale istotę obecnych poglądów dr. Rajchmana. Nazywaliśmy go dotąd pieszczołliwie, pomni patriotyzmu jego rodziny i zawsze ludzący się że w końcu nawróci się: "Lulu". Ale teraz Lulu się skończył. Jest poprostu Rajchmaninow.

PAN JERZY MICHAŁOWSKI, NO- WA GWIAZDA Z POD CIEMNEJ GWIAZDY

Na miejsce Strasburgera, którego Hemar doprowadził swoją piosenką do takiej hysterji, że rzucił swoje "tiopłoje miesteczko" w Londynie i podobno ma zamiar zmienić nazwisko i zapuściwszy brodę zamieszkać na bezludnej wyspie, żywiąc się korzonkami, "rząd" warszawski mianował jakoby ambasadorem pana Jerzego Michałowskiego, który przed wojną był obiecującym bobasem przyzeńionym do znacznej inteligenckiej rodziny i którego po wojnie zrobiono najpierw wiceprezydentem Warszawy, później radcą w Londynie a później "nadziateliem" pana Langego i jego zastępcą w Radzie Bezpieczeństwa. Nominacja ta oznacza przedewszystkiem, że warszawski rząd złożony z brudasów nietylko moralnych ale i fizycznych — postanowił przynajmniej co do czystości ciała i ochędóstwa w ubraniu pójść za przykładem matuszki-sojuszniczki, która ostatnio każe się wszystkim swoim Mołotowom i Cromykom szorować codzien ryżową szczotką, zlewać "odekolonem" i uśmiechać do fotografii. Pod tym względem pan Michałowski jest w najlepszym stylu dawnych Tośiów Załęskich

z "Rodziny" Słonimskiego i według starej tradycji bubków emeszetowych.

Ale podobno pod tą niepokalaną bielizną bije z całej siły serce oddane na śmierć i życie Rzymowski i Żymierskim, podobno ten młody ambasador, o rumuńskiej elegancji jest uchem i okiem Warszawy, które nawet na samego Langego patrzyło badawczo czy się czasem nie zaflirtuje z jakimiś amerykańskimi faszystami, podobno nawet pan Littauer nie jest tak zaufany a pan Rajchmaninow tak pewny — jak pan Michałowski, który wszystkich starych i nowych bolszewików przeszedł jakoby w wierności i staraniu. Tylko tak jak pan Wieniewicz w Waszyngtonie — pan Michałowski nie będzie miał żadnego pola w Londynie aby czemś się naprawdę swoim szefom zasłużyć. Takich elegantów jak pan Michałowski już tam widzieli a tacy dyplomaci jak on są już oddawna pod ścisłym nadzorem. Jesteśmy też pewni że Hemar zajmie się nim jak należy i że niezadługo panu Michałowskiemu zaproponują powrót do kraju, gdzie według jego zdania wszystko idzie ku lepszemu i ludzie szaleją z poczucia dobrobytu, demokracji i wolności.

"LEW I PLUSKWA" — BAJKA LAFONTAINE'A

Przeciwko generałowi Andersowi i tym żołnierzom polskim, którzy nie chcą wracać pod Bieruta wypowiedział się imieniem "ambasady" londyńskiej pan Klemens Kęplicz, attache prasowy teźże ambasady. Tego "spokesmana", pozwalającego sobie na przgany i pogróżki pod adresem wielkiego wodza i najlepszych polskich żołnierzy i patriotów, znamy nie od wczoraj i od przedwczoraj, tylko od zawsze, zawsze bowiem jadł chleb rządowy w Polsce, zawsze czapkował wszystkim możliwym i wpływowym, i to co dzisiaj mówi o żołnierzach Andersa mówił o wrogach sanacji, "demokratach", o "bolszewikach", myśląc tylko o tem wiele zafasuje na pierwszego z redakcyjnej czy jakiejś innej kasy. Że też Bierut i Osóbka nie mogą wynaleźć nikogo do przedstawienia ich na zachodzie ktoby z jakim takim prawdopodobieństwem mógł uchodzić za dawnego komunistę, za ideowca, że też muszą się wysługiwać samemu tylko sługusami dawnych rządów, nie mówiąc już o defraudantach i plagjatorach którymi garnrują naczelnostanowiska, chcąc oczywiście znieślić Polskę przed światem.

Kęplicz przeciw generałowi Andersowi? "To doprawdy warte śmiechów" jak mówił Wyśpiański. I jak mówił Boy: "Quousque będziecie cierpieć tę....?"

"CYRANO DE BROADWAY"

Idzie na Broadwayu wśród wielu doskonałych premier i wznowień teatralnych "Cyrano de Bergerac" Rostanda, sztuka tak francuska jak "Trylogja" jest w pewnym sensie esencją polskości i przez to, zdawałoby się bardzo nieamerykańska. Widzieliśmy to przedstawienie i wydaje się nam, że nietylko jest ono niezwykle interesujące, aktorsko doskonałe, ale że wytrzymuje pod każdym względem porównanie z najlepszymi, nawet francuzkami realizacjami tej sztuki. "Cyrano" na Broadwayu jest przeciwieństwem stylu Hollywood i pod względem autentyczności atmosfery, ścisłości kostjumowej, jest wzorem sumienności, intuicji i smaku. Doskonały, tradycyjny już przekład i bardzo umiejętnie skróty nietylko nie uroziły z piękności "Cyrana" ale jakby nawet pogłębiły dramatyczność utworu, dając mu jakieś niemal szekspirowskie perspektywy. W tytułowej roli będącej marzeniem iluż aktorów, młody Jose Ferrer który w ciągu ostatnich lat grał tak różne postacie jak Jago i "Cioczka Karola", stworzył postać niemalże ze szekspirowską, jak gdyby komedyjowego Hamleta, który w kulminacyjnych scenach naprawdę reprezentuje swą sprawę swem cierpieniem.

"Cyrano" amerykański jest mniej deklamacyjny, mniej patetyczny, — mniej gaskoński niż w Paryżu — ale jest nierniej poetyczny, ludzki i jak powiedzieliśmy, bez mała głębszy. — Przedstawienie świetnie świadczy o poziomie i możliwościach teatru amerykańskiego, obok teatru francuskiego bodaj że najświetniejszego dziś na świecie.

Z AFORYZMÓW BERNARDA SHAW

Bernard Shaw powiedział kiedyś "To ciekawe, że za każdym razem kto inny umiera".

OBRZYDLIWI SZANTAŻ

W "Afttonbladet" z dn. 10 października ukazał się wywiad H. Dikmana z delegatką szwedzkiej pomocy dzieciom "Rodda Barnen" w Warszawie, panią Rosengren. Opowiada ona, że instytucja szwedzka zorganizowała dożywianie dla 12 tysięcy dzieci w Warszawie i choć jest to kropla w morzu wobec ogromnych potrzeb, jednak spełnia piękne zadanie.

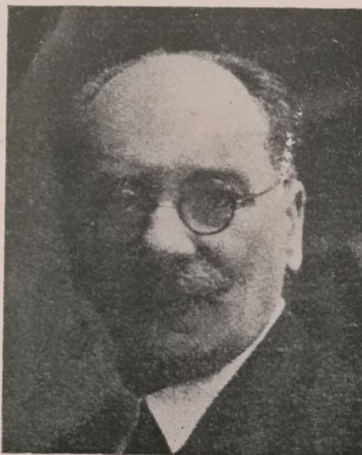
"Niestety—pisze autorka wywiadu — brak jest lokali i personelu, co nie pozwala nam dokonać rozdziału produktów t.j. mleka skondensowanego, jarzyn, kasz, margaryny, kakao i t.p. bezpośrednio i musimy to powierzyć urzędowi polskiemu. Skutek jest taki, że urząd pobiera żywność dla 300 dzieci, a okazuje się, że rozdała tylko 75-u. Przy zapisywaniu dzieci nie bierze

się pod uwagę potrzeby pomocy, lecz przede wszystkim to czy rodzice są "politycznie pewni", t. j. czy należą do komunistycznej partii robotniczej (PPR, przyp. red.). Gdy Szwedzi chcieli kiedyś udzielić pomocy żywnościowej dobroczynnemu domowi dziecięcemu, nie pozwolono na to, ponieważ dom był utrzymywany przez organizację katolicką."

ARCHIWUM HIMMLERA

W tygodniku "France" Ludwik Gocel, bibliotekarz biblioteki uniwersyteckiej w Poznaniu opisuje archiwum Himmlera. Biblioteka mieściła się na zamku w Sławie na D. Śląsku. Zawierała ona 140.000 książek podzielonych na 4 sekcje: książki o wolnomularstwie, o kościele katolickim, o Żydach i o marksizmie. Niemcy zorganizowali w Sławie rodzaj ośrodka naukowego dla zwalczania doktryn, które uważali za swych głównych wrogów. Dwa uboczne działy biblioteki gromadziły: literaturę poświęconą wszelkiego rodzaju torturom i materiały informacyjne z całego świata. W kartoteczce przy tej ostatniej sekcji masoni mieli karty niebieskie, księża — białe, Żydzi — żółte, marksściści — czerwone.

STRATY KULTURY POLSKIEJ



Ś. p. profesor Stanisław Kutrzeba, jeden z najwybitniejszych uczonych polskich, b. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezes Akademii Umiejętności.

Tuż przed zamknięciem numeru doszła nas smutna wieść o śmierci prof. Zygmunta Stojowskiego. Po ciężkiej chorobie na którą zapadł przed kilkoma miesiącami, zgasł dnia 5 listopada. W następnym wydaniu "Tygodnika" poświęcimy śp. prof. Stojowskiemu obszerniejsze wspomnienie.

Kronika katolicka

KS. J. PIWOWARCZYK, redaktor krakowskiego "Tygodnika Powszechnego" w artykule p.t. "Kościół Ludzkości" pisze m. in. co następuje:

"Świat jest przekonany, że rola kościoła katolickiego — nie tylko religijna, ale w ogóle kulturalna — jest uwarunkowana jego niezależnością od państwa i narodów i ras i typów kultury. Wie, jest przekonany, że związanie go z państwem lub narodem zmieniłoby go w narzędzie polityczne, w jedną gałąź administracji publicznej, jak było z religiami starożytnymi..."

WIELKOŚĆ STRAT. Po przyłączeniu do Rosji naszych ziem wschodnich, po masowych deportacjach ludności w latach 1939-41 i 1944-45, po zniszczeniach i stratach wojennych, 9 katolickich diecezji przestało istnieć. Były to:

Diecezja	Wiernych:
1. Łucka	332.092
2. Pińska	305.094
3. Lwowska (rz-kat.)	1.072.213
4. Lwowska (gr-kat.)	1.351.300
5. Lwowska (orm-kat.) ...	5.000
6. Wileńska	1.514.691
7. Przemyska (gr-kat.) ...	1.145.002
8. Stanisławowska (gr-kat.)	1.004.922
9. Łemkowska Adm. Apost.	127.305

6.958.629

Ogółem 3.501 parafji, 5.168 księży. DZIEWIĘĆ diecezji z prawie siedmiu milionami wiernych, ponad 5 tysięcy kapłanów i trzy i pół tysiąca parafji. Ostatnie bastjony Europy Chrześcijańskiej na wschodzie zostały zburzone.

KOŚCIOŁY WARSZAWSKIE: św. Trójcy na Powiślu, św. Antoniego, M. B. Częstochowskiej, św. Stan. Kostki na Żoliborzu, św. Józefa na Kole, Kapucynów na Miodowej i św. Michała na Puławskiej rozpoczęto odbudowywać.

W SZTOKHOLMIE-LUND ukazał się pierwszy numer dwutygodnika katolicko-społecznego p.n. "ZNAK". Pisimo pragnie na wychodźstwie rozprze-strzeniać i umacniać myśl katolicką oraz reprezentować katolickie stanowisko. Pismo redagowane jest żywo i interesująco.

KS. BISKUP MULLER ze Sztokholmu wydał list pasterski do przebywających w Szwecji Polaków. W liście tym Duszpasterz wyraża uczucie gorącej miłości do Polaków, zaleca im strzeżenie świętej wiary katolickiej i dodaje ufności w ciężkich chwilach.

BISKUPI HOLENDERSCY w wydanym ostatnio liście pasterskim zabraniają udzielania sakramentów świętych katolikom, którzy należą do partii komunistycznej.

W kilku słowach

Z POLSKI

DOLARY Z LISTÓW AMERYKANSKICH były dotychczas przez pocztę krajową wyjmowane i adresatowi wypłacano po 100 zł. za dolara. Jak donosi "Dziennik Ludowy", Ministerstwo Poczty i Telegrafów postanowiło obecnie, że dolary nadsyłane w listach nie będą wyjmowane. Listy z pełną zawartością mają być doręczone adresatowi. Czy aby tak jest naprawdę?

W OLSZTYNIE ma stanąć pomnik Mikołaja Kopernika.

ZA KONIA pochodzącego z darów UNRRA chłop musi płacić 12 do 20 mtr. żyta, płatne w ciągu 3 lat plus 6.000 zł. za transport. Wynosi to razem 40 do 56 tysięcy zł. Do tego dochodzi obowiązkowa łapówka.

TEATR WYBRZEŻA w Gdyni będzie od nowego sezonu kierowany przez Ivo Galla.

HUMOR KRAJOWY

Co się pozostanie z wyrazu "POLSKA" po zlikwidowaniu "AK" i "PSL"? Zostaje jedna tylko litera "O" czyli—zero.

* * *

W Warszawie wymyślono znowu aktualną nazwę dla t.zw. łapanek ulicznych. Nazywają się one teraz: "Bierut osóbkli".

Z OBOZÓW POLSKICH W NIEMCZECH

PREZES ROZMAREK O METODACH REPATRIACJI. Zgodnie z zapowiedziami delegacja Polonii Amerykańskiej po powrocie z Niemiec, gdzie naocznie przekonała się o warunkach, w jakich żyją wysiedleńcy, złożyła obszerny memoriał min. Byrnesowi, obrazujący całość stosunków w tej sprawie. W memoriale tym prezes Rozmarek oskarża władze UNRRA o stosowanie "pośrednich metod przymusu" przy repatriacji.

Jednocześnie na konferencji prasowej prez. Rozmarek zapowiedział, że na najbliższej sesji Kongresu będzie domagał się przeprowadzenia dochodzeń co do działalności UNRRA. W szczególności prez. Rozmarek wyliczył następujące przykłady przymuszania: niedostateczne wyżywienie, ciągłe przenoszenie obozów oraz zofiarowanie 60-dniowej żywności tym, którzy wyrażą gotowość powrotu.

ODNALEZIONO 10.000 DZIECI POLSKICH. Władze UNRRA w Berlinie podały do wiadomości, że zostało już zidentyfikowanych dziesięć tysięcy dzieci polskich porwanych przez Niemców w czasie wojny. Rodzice ich zostali zamordowani. Dzieci znalazły zastępczych rodziców. Nad wychowaniem sprawują nadzór opiekunowie.

LISTY DO REDAKCJI

Ostatnio otrzymaliśmy z Polski wzruszający list-prośbę. Pisany na szarym, pokratkowanym papierze, brzmi on jak następuje:

PROŚBA

Szanowna Redakcjo! Zwracam się z gorącą prośbą do Waszych bratnich a czułych serc. Jestem biednym człowiekiem całkowicie przez wojnę zniszczonym. Przez moją wieś biegła linja frontowa a walki trwały tutaj trzy miesiące.

Rodzina moja znajduje się w krytycznym położeniu a ja czuję się bezradny. Możeby wśród naszych braci w Ameryce znalazł się ktoś, kto by zechciał nam pomóc? Wiem, że Polonja okazuje nam dużo serca i wiem, że potrzeby są ogromne. Może jednak ja będę tym szczęśliwcem, który znajdzie jakiegoś opiekuna.

Wszystko o co proszę, to trochę odzieży i obuwia, bo jesteśmy obdarci całkowicie i chodzimy w łachmanach. Jest nas czworo: żona, ja i nasi dwaj mali chłopcy, którzy nie wiedzą co to dziecięcy uśmiech szczęścia. Z góry już dziękuję w imieniu nas czworga temu czy tej z pośród naszych Rodaków z za oceanu, którzyby zechcieli nam przyjść z pomocą. Odwdziżyć się będziemy mogli gorącymi modlitwami naszymi i naszych dzieci.

z poważaniem,

Stanisław Orłów,
wieś Jałowo, poczta Rutka-Tartak, powiat Suwalski, Polska.

Jesteśmy przekonani, że jeszcze na Gwiazdkę, rodzina ta wśród radości rozpakowywać będzie solidną paczkę z Ameryki. Ofiarodawcom wystarczy uśmiech dwóch chłopców, którzy w swem życiu poza chłodem i głodem nie zaznali radości i dostatku tak jak nasze dzieci tutaj.

Prosimy o zawiadomienie "Tygodnika" o pomocy udzielonej p. Orłowowi, gdyż pragniemy ogłosić nazwisko tej osoby czy organizacji, która odpowie na ten smutny i przejmujący apel.

SZUKAJĄ WAS — ODEZWIJCIE SIĘ!

KOWALSKI HENRYK, urodzony w Dubiecku koło Przemyśla, syn Antoniego i Katarzyny, wyjechał do Stanów Zjedn. przed pierwszą wojną światową i przez pewien czas mieszkał w Buffalo. Poszukiwany przez Bronisława Kowalskiego, Jerusalem, Palestine, Polish Board of Education, 3 Princess Mary Ave.

JURCZAK IGNACY, pochodzący z Postołówki, powiat Husiatyn, poszukiwany przez Janinę Bogdanowicz, córkę Marji Jurczak, zamężną Bogdanowicz. Marja Jurczak jest córką Franciszki i Jana Jurczaków. Franciszka, z domu Myślicka. Również poszukiwani są Władysław i Karol Jurczak, zamieszkali w Winnipeg, Manitoba, Canada. Odpowiedzi prosimy kierować na adres: Stanisław Podkowiec, 1572 Broadway, Buffalo, 12, N. Y.

KORESPONDENCJĘ Z POLONJĄ NAWIĄZAĆ PRAGNĄ

PUCZKOWSKI ZBIGNIEW, Polish Forces, P/33 B.A.O.R., — pragnie nawiązać korespondencję z Rodaczkami z za oceanu.

SZYFTER WITOLD, podchorąży, P. O. Woodhall Spa, Lincolnshire, Polish Camp Nr. 6, Roughton Moore, England — pragnie korespondować z Polką-Amerykanką.

PRZYBYLSKI TADEUSZ, strzelec, 25 Badney Airfield, P/105, Thedford, Norfolk, England — pragnie nawiązać korespondencję z panną pochodzenia polskiego.

ŚNIEZKO RYSZARD ułan z IIgo Korpusu, 25 Badney Airfield, P/105, Thedford, Norfolk, England — pragnie nawiązać korespondencję z polską rodziną lub młodą Polką.

Potrzebni czyściciele do budynków biurowych, do pracy nocnej. Doświadczenie niepotrzebne — 40 godzin pracy — bardzo dobra płaca. Należy zgłosić się do pana Inge— 59 Pine St., New York City.

JEŻELI CHCECIE:

BY wysyłane przez Was paczki do rodzin w Europie szybko dochodziły

BYŚCIE otrzymali równie szybko potwierdzenie odbioru i podziękowanie.

BY paczki doszły w stanie nienaruszonym, odrutowane i ubezpieczone

Wysyłajcie je za pośrednictwem

AMERICAN RELIEF PARCEL COMP.

152 W. 103 STREET, N. Y. C.

Tel. RI 9-2204

Zwróćcie się natychmiast o cenniki i informacje.